Zeszyty Tłumackie

ZESZYT nr 1(43) ISSN: 1426 - 4129 (I-VI 2009 r.)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan – Wrocław

Nad tłumackim stawem.
Tłumacz – lato 1998r.

Księga wspomnień

Tak Was kocham me
strony rodzinne,
Biegnę do Was myślami
codziennie...
Dawne harce, swawole
niewinne,
Przywołuję pamięcią
niezmiennie.
Kocham las, kocham pola
i drogę,
Chociaż obraz ich kurzem
pokryty,
Lecz zapomnieć wciąż
o nich nie mogę,
Księgę wspomnień mych
ciągle więc czytam.
Myśl ma biegnie do pól
i do lasów,
Krętą drogą, jak dzieje
Ojczyzny.
Chociaż nie ma juz ran
tamtych czasów,
Lecz wciąż po nich
widoczne są blizny.
Dziś odwiedzam kochane
me strony,
Kto wie, może już po raz
ostatni...
Niech zostaną w pokoju!

Przekazuję im pokłon mój
bratni.

*

Przesiedlili, przegnali,
wywieźli,
oddzielili duszę od ciała.
Zapomnieli tylko o
jednym.
Przeoczyli. Że ziemia
ojczysta została.
Ziemia, której ni
wymazać, ni wywieźć.
Z której nadal
z nadejściem wiosny,
zielonością w niebo
strzelają
buki, klony, topole i
sosny...

Andrzej Mirosław Emerle

Pamiętne, ważne rocznice

Stosunki polsko-ukraińskie w Tłumaczu (cd)

Tadeusz Kłonowski
(Gdańsk 1987)

Działacze krzewienia świadomości narodowej zaczęli pracę od podstaw, tj. od podniesienia oświaty ludu. Rozbudzona została świadomość, że Rusini, jak inne narody, mają prawo do własnego języka, kultury, administracji i państwowości. Dla podkreślenia odrębności narodowej coraz częściej w miejsce Rusin wprowadzano Ukrainiec. Prawdopodobnie określenie się Rusinem brzmiało konserwatywnie i zbyt ugodowo. Prowadziło to do swoistego paradoksu. Jak wynika ze statystyki 1931r. w województwie stanisławowskim 46,9 % mieszkańców posługiwało się językiem ukraińskim, a 22 % ruskim. Jednolita etnicznie ludność posługująca się tym samym językiem - różnie podaje swoją narodowość i ojczysty język.

Do pierwszego zbrojnego konfliktu doszło w czasie obrony Lwowa. Rząd Austrii, który wcześniej wyraził zgodę na tworzenie Drużyn Strzeleckich i Legionów, prawdopodobnie zgodnie z zasadą „dziel i rządź" lub może w odwecie za Rarańczę i zmianę orientacji polskich dążności niepodległościowych, zainspirował stworzenie Ukrainy na terenie Wschodniej Galicji. Doszło do zbrojnego starcia między oboma narodami. W tej konfrontacji strona ukraińska poza zdecydowaną liczebnie przewagą ludności na wsi, ustępowała pod każdym względem stronie polskiej. Ukraińcy nie mieli poparcia militarnego ani politycznego z zewnątrz. Terenem bezpośrednich walk zbrojnych był Lwów. Przed opanowaniem Lwowa przez Ukraińców broniła się ludność cywilna i nieliczne nowotworzone oddziały wojskowe. Wystarczyło przybycie z odsieczą jednej, niezbyt dobrze wyposażonej dywizji by rozstrzygnąć konflikt na korzyść Polski. Poza Lwowem na terenie trzech województw nie było poważniejszych walk i władza przechodziła z jednej na drugą stronę bez rozlewu krwi i bez zażartości wzajemnego zwalczania się. W swoich dążeniach niepodległościowych słabsza strona ustąpiła silniejszej. W rezultacie Polska wcieliła do swojego państwa trzy wschodnie województwa byłego zaboru austriackiego i woj. Wołyńskie, w którym podobnie jak w stanisławowskim 68% ludności stanowili Ukraińcy wyznania prawosławnego.

W obliczu zawiłych zmian w układzie sił i ustrojów państwowych Ukraińcy przenieśli zapoczątkowaną walkę na arenę parlamentarną. Poprzez swoich przedstawicieli w Sejmie i Senacie dążyli do uzyskania praw autonomicznych. Zagorzałym zwolennikiem tego kierunku był min. Tłumaczanin, dr praw, adwokat Iwan Makuch. Za swoje zdecydowane wystąpienie w Senacie, nie został wybrany na następną kadencję.

Rząd polski ufny w swoją siłę obrał zupełnie nierealne i błędne kierunki w rozwiązywaniu problemów narodowościowych na wschodnich terenach – kresach. Wykorzystując istniejące w Polsce swobody Ukraińcy tworzyli różne zrzeszenia i organizacje o oświatowym, spółdzielczym i sportowym charakterze. Jednak wszystkie poza swoim oficjalnym programem ukrywały dążenia i agitację nacjonalistyczną. Na terenie Tłumacza i powiatu znane były „Proświta", „Łuh", „Kameniari". W ostatnich latach przed II wojną światową intensywnie rozwijała się spółdzielnia rolniczo-handlowa „Sojuz". Władze Tłumacza zezwalały na urządzanie ukraińskich festynów, które z roku na rok zwiększały swój zakres i liczebność. Do dyspozycji oddawany był nowo zbudowany stadion na stawiskach (za targowicą). Głównym patronem tych festynów był Iwan Makuch. On to przed rozpoczęciem imprez odbierał defiladę zespołów. Na program składały się przede wszystkim zespołowe pokazy gimnastyczne. Pamiętam jeden taki pokaz. Ćwiczyli „Kameniari'. Zespół zajmował prawie całą płytę boiska piłkarskiego, byli prawie jednolicie ubrani (ubiory wiejskie), ćwiczyli olbrzymi młotami wykonanymi z drewna. Prócz podobnych pokazów demonstrujących masowość i siłę organizacyjną, na zbudowanym podium odbywały się popisy artystyczne. Występowały różnego charakteru zespoły prezentując dorobek folklorystyczny. Na scenie do popisów artystycznych wplatano deklamacje i monologi o treści nacjonalistycznej, wrogiej wobec Polski. W jednym z monologów wykonawca opowiadał: „pewnego razu idąc drogą poczciwy chłop-gazda znalazł nie dającą znaku życia zmarzniętą istotę. Jako dobroduszny człowiek ulitował się nad tym stworzeniem, podniósł i włożył je za pazuchę. Nagrzane ciepłem ciała swojego dobroczyńcy stworzenie ożyło, okazało się jadowitą żmiją i w zamian wdzięczności za okazaną pomoc ugryzło śmiertelnie swojego wybawcę". W konkluzji dodał: „Tym dobrodusznym

człowiekiem jest naród ukraiński, a przygarniętym i niewdzięcznym stworzeniem – Lachy". Podobnych drażliwych, podburzających wystąpień było więcej, ale ten jeden zapamiętałem. Po jednym z takich festynów doszło do incydentu. Grupa młodych Tłumaczan, koło „Przemysłówki", przy ul. Słowackiego obrzuciła kamieniami powracających z festynu Ukraińców. Uciekali tłumnie, aż dudnił bruk gościńca. Czy był to odwet za Kolińce, czy też odwrotnie, tego nie wiem. Mimo tego rodzaju incydentów i podsycania nienawiści pomiędzy ludnością polską i ukraińską istniały na ogół poprawne stosunki. Nie dochodziło do podziału społeczeństwa na dwa, przeciwstawne, wrogie obozy. Na przestrzeni lat 1931-1939 doszło do kilku morderstw natury rabunkowo - terrorystycznej. Pierwszą ofiarą w 1931r był Żyd Jakub Leopold, po kilku latach zastrzelony został Zoubek, a na początku 1939r. Józef Petrus, poborca skarbowy. Terenem tych zabójstw były: Miłowanie, Olszanica, Roszniów – wsie znane z nacjonalizmu i bandyckich skłonności.

W okresach poprzedzających żniwa, bywała rozpowszechniana agitacja, mająca na celu bojkot żniw na większych własnościach ziemskich, tj. dworach. Głoszono konieczność wymuszania większych wynagrodzeń (w naturze) za prace żniwne. Agitacja ta głoszona była przez emisariuszy ze wschodu i miała na celu tworzenie ognisk walk społeczno - klasowych i w rezultacie podsycała nienawiść do właścicieli ziemskich – Polaków. Na tym tle powstawały często wyolbrzymione plotki, zgrzyty i zamęt. Górę brała jednak potrzeba zarobków. Tam, gdzie dochodziło do zbytnio wygórowanych żądań sprowadzano bardzo sprawnych i pracowitych Hucułów.

W okresie kilku lat przed wybuchem drugiej wojny światowej dał się zauważyć wzrost poziomu życia gospodarczego. Uwidoczniło się to w rozwoju hodowli i intensyfikacji rolnictwa, co z kolei przyczyniało się do rozwoju handlu. Środowe targi w Tłumaczu stały się poważną bazą skupu zboża, żywca, nabiału, itp., czyli produktów pochodzenia rolniczego. Odbiorcami tych produktów był Stanisławów, Lwów, miasta Śląska, a w przypadku jaj również zagranica (min. Hiszpania i Niemcy). Tłumacka jajczarnia, działająca pod szyldem „Kółka Rolniczego", a praktycznie prowadzona przez Bildnerów, w okresie letnim eksportowała po kilka wagonów jaj tygodniowo. Podnoszona była systematycznie wiedza rolnicza i organizowane były różne pokazy w zakresie produkcji rolniczej. W tym miejscu należy przyznać, że na tym polu wiele zasług i osiągnięć miała spółdzielczość ukraińska, popularnie zwana „Sojuzem". Występowała w tym czasie swego rodzaju rywalizacja na płaszczyźnie ekonomiczno – gospodarczej pomiędzy stroną polską, a ukraińską, która w rezultacie działała na korzyść całego społeczeństwa. Ogólnie odnosiło się wrażenie, że najgorsze lata kryzysu już minęły i następuje stabilizacja i wzrost poziomu życia.
Tak widziałem i oceniałem zachodzące zjawiska, jako 13-16 letni chłopiec.

Obwieszczenie o mobilizacji rozplakatowano w Tłumaczu 30 sierpnia 1939r., w środę, w dzień targowy. W czwartek przed południem podstawiono w Tłumaczu dodatkowy pociąg z przeznaczeniem dla rezerwistów. Udałem się z bratem Zygmuntem i kolegami na dworzec. Przedziały zostały zajęte przeważnie przez rezerwistów Ukraińców, pochodzących ze wsi. Śpiewali swoje ukraińskie piosenki, na peronie tłoczyła się masa odprowadzających ich ludzi oraz gapiów. Przy wtórze pieśni i zawodzenia kobiet wiejskich pociąg ruszył. Wracaliśmy w tłumie. Przed nami szedł Michał Zauliczny („Czopyk") w towarzystwie kolegi Ukraińca („Dyjumen"?), który głośno wyrażał swoje zastrzeżenia, co do słuszności brania udziału w wojnie przez Ukraińców. Zauliczny odpowiedział mu wtedy w następujący sposób: „Jesteśmy obywatelami Polski i lojalność wobec państwa nakazuje tę powinność". W takiej atmosferze, jak wypowiedź tego prostego człowieka przebiegała mobilizacja. Nie słyszałem o jakimkolwiek uchylaniu się od tego obowiązku.

Wybuch wojny został przyjęty z całą powagą przez społeczeństwo Tłumacza. Niepewność, co do jej przebiegu została chwilowo rozwiana przez ogłoszenie wiadomości o przystąpieniu do wojny Anglii i Francji. Przez cały okres tragicznych 17 dni września, nie było żadnych incydentów, czy wrogich wystąpień ze strony Ukraińców. Przez Tłumacz przechodziły lub przejeżdżały nieliczne oddziały wojska i uchodźców. Wszelkim nadziejom położył kres komunikat radia sowieckiego. Podano min. (również po polsku), że Związek Radziecki postanowił przyjść z pomocą, by wyzwolić narody zamieszkujące tereny zachodniej Ukrainy i Białorusi. W następnym dniu, tj. 18 września, (poniedziałek) zastanawiano się, w jakim charakterze i po czyjej stronie przystępuje do wojny Związek Radziecki. Niektórzy upatrywali w nim przeciwnika Niemiec. Nikt nie wiedział o porozumieniu Ribentrop – Mołotow. Pierwsze radzieckie czołgi zjechały do Tłumacza wczesnym rankiem, 19 września. Tego samego dnia, bardzo wielu Tłumaczan narodowości żydowskiej i ukraińskiej stworzyło milicję. Wśród nich znalazł się tez Polak – Makarewicz. Milicjanci pomagali w poszukiwaniu i rozbrajaniu rozlokowanych po domach, nielicznych, polskich żołnierzy, a także w aresztowaniu Polaków, którzy zajmowali stanowiska w aparacie państwowym. Do milicji wstąpili komuniści, ich sympatycy i zdezorientowani

ukraińscy nacjonaliści. Ci ostatni po kilku dniach wycofali się z tej służby, gdy dowiedzieli się, że Ukraina może być tylko radziecka. O „samostijnej" nie wolno im było nawet myśleć. Do wystąpień terrorystycznych nie doszło. Wojska sowieckie bardzo szybko i masowo zajęły tereny i nie było szans do jakichkolwiek akcji w okolicy Tłumacza. Krążyła pogłoska, że w pewnej wsi Ukraińcy rozebrali do bielizny kilku polskich żołnierzy. Gdy rozebranych spotkali sowieccy żołnierze, dowiedzieli się, że Polacy zostali ograbieni przez Ukraińców. Udali się na wskazane przez nich miejsce i rozstrzelali sprawców. Euforia z przybycia wojsk radzieckich ogarnęła przede wszystkim Żydów, obawiających się przybycia wojsk niemieckich. Zamożniejsi Żydzi i całe kupiectwo zdawało sobie sprawę, że pod względem samodzielności materialnej zostali przegrani. Już w pierwszych dniach handlarz cielętami – Krugel, w rozmowie z Wasyłyszynem wyznał po ukraińsku: „Piotrze, bardzo złej dokonaliśmy zamiany". Ocena ta w bardzo krótkim czasie została potwierdzona. Właścicielom sklepów nakazano sprzedaż towarów w relacji – 1 zł = 1 rubel. Byłem świadkiem, jak w sklepie Lejbka Kruma jeden z braci Leopoldów, występując w charakterze ważnego milicjanta i przedstawiciela władzy, z pistoletem u pasa, doniosłym głosem rozkazywał, by prowadzić normalną sprzedaż podstawowych artykułów spożywczych.

Oficerowie radzieccy dysponując kilkumiesięcznymi poborami wykupili wszystko o się da, w nienormalnych ilościach. Sklepy pustoszały w bardzo szybkim tempie, a kupcy ratując część towarów przed wysprzedaniem, ukrywała je w innych pomieszczeniach. W ten sposób, w ciągu tygodnia, zlikwidowany został handel, główne źródło utrzymania przeważającej części żydowskiej społeczności.

Wkroczenie wojsk radzieckich fetowała również biedota wiejska, grabiąc porzucone majątki ziemskie. Według opowiadania mieszkanki Koropca, pani Małachowskiej, po ograbieniu dobrze prosperującego majątku hr. Badeniego, ludziska przez dwa tygodnie nie pracowali, siedząc po rowach i cieniach i raczyli się bułeczkami i pierogami z dworskiej mąki. Meble pokojowe i biblioteczne były cięte na pół, by mogły zmieścić się pod strzechy.

Po kilku dniach nowej władzy wiadomo było, że „batko" Stalin bezkompromisowo rozprawia się z wszelkimi przejawami ukraińskiej samodzielności. Zniknęli więc z areny przedwojenni działacze nacjonalistyczni (min. Iwan Makuch). Według Piotra Wasyłyszyna ukrywał się on na Huculszczyźnie, gdzie przebrany za Hucuła, pasał owce. Tam najprawdopodobniej zmarł. Dokładnie nie pamiętam, bo nie wrócił do Tłumacza, po czerwcu 1941r.

Od września 1939r do czerwca 1941r nie istniały najmniejsze oznaki antagonizmów polsko-ukraińskich, a nawet nastąpiło pewne zbliżenie Ukraińców i Polaków. Zbliżenie to powstało na tle wspólnego losu i bytu materialnego. Wszyscy w jednakowym stopniu odczuwali niedostatek w zaopatrzeniu i brak podstawowych produktów, takich jak cukier i sól, mydło, materiały tekstylne, skóra i obuwie, wyroby żelazne, itp. Pojawiły się nieznane dotąd kolejki za chlebem, często rozpędzane przez milicję, szczególnie charakterystyczne w miastach, w których ludzie ustawiali się w kolejkach od wieczora poprzedniego dnia. Obydwie narodowości, nie wyłączając warstw najbiedniejszych, nie akceptowały nowej ideologii, wprowadzania nowej spółdzielczości rzemieślniczej (arteli) i kolektywnego rolnictwa. Jednakowe tez było stanowisko kościołów wobec drwiącego sposobu zwalczania wiary i ateizacji ludzi. Kierownicze stanowiska zostały obsadzone przez Rosjan lub zrusyfikowanych Ukraińców. Miejscowi Ukraińcy i Żydzi zajmowali niższe szczeble. Po żniwach, w 1940r wprowadzono obowiązkowe dostawy zboża, a jesienią okopowych, za które płacono wg zaniżonych cen. Dodatkową udręką była sztucznie organizowana spontaniczność wywiązywania się z kontyngentów. Tworzono całe kolumny furmanek, wyładowanych zbożem. Na pierwszym wozie obowiązkowo umieszczano transparent, a nierzadko zespół wiejskich grajków. Za tą fasadą rosła nienawiść do władz, chłopi klęli, wyczekując całym dobami, pod gołym niebem, w niekończących się kolejkach. Na przełomie 1940 i 1941 roku coraz szerzej stosowana była praktyka bezpłatnych prac. Pod koniec stycznia 1941r. większość posiadaczy koni otrzymała nakaz wyjazdu w okolicy Nadwórnej (Tłumaczanom wypadła wioska Pniów), gdzie czasem przez miesiąc prowadzono na szeroką skalę wyrąb i wywózkę drzewa, z przeznaczeniem na wschód. Do wyrębu zaangażowano również ludzi z naszego powiatu i też w formie szarawarku **(1).** Od maja 1941r. do wybuchu wojny sowiecko – niemieckiej olbrzymim terenem podobnej, przymusowej pracy był teren budowy lotniska pod Stanisławowem. Tu zastosowano wynagrodzenie w naturze, tj. koniom przydzielono pewną ilość owsa. W przeddzień wybuchu wojny, 21 czerwca byłem na terenie tej budowy. Na olbrzymiej, płaskiej przestrzeni, w upale czerwcowego słońca pracowało całe mrowie ludzi i koni i trudno było się zorientować, gdzie początek i koniec tych robót.

Cdn.

***1)** Szarawark (niem.) - nakładany przez państwo obowiązek ludności dostarczania ludzi i sprzętu do różnego rodzaju prac publicznych.*

Ziemia Stanisławowska

Tchnienie wieków

F. Antoni Ossendowski

„Tchnienie wieków" jest fragmentem książki F. Antoniego Ossendowskiego „Huculszczyzna", dziesiątego tomu cyklu „Cuda Polski – piękno przyrody, pomniki pracy, zabytki dziejów", zaopatrzonej w przepiękne motto Aleksandra Fredry – „To Polska – to ojczyzna nasza". W tekście zachowano oryginalną pisownię.

Wiosna nad Czeremoszem.

Jedna z dróg z Żabia biegnie w górę Czarnego Czeremosza. Marna, kamienista, za to malownicza i z rzadka tylko uczęszczana droga! Obok grzmi rzeka, skacząc po kamieniach i przeciskając się z trudem pomiędzy złomami skalnemi i okrągłemi, gładko obtoczonemi głazami. Tam i sam stoją chaty huculskie, widnieją zagoniki pól uprawnych i ogrodzone woryniami "carynki", gdzie gazdowie koszą trawę dla bydła. Droga przytula się do ścian boru, to znów wije się pod falistemi spływami łąk pastewnych, kwiecistych i szmaragdowo-zielonych. Z prawej i lewej strony wylewają się do Czeremoszu mniejsze i większe potoki, a góry lesiste i ciemne, nie oszpecone łysinami zrębów, zamykają zazdrośnie ich wąskie dolinki. Na gwałtownych zakrętach lub na wyniosłych garbach drogi wyłaniają się nagle dalsze szczyty Magury, Krętej i Kostrzycy; tam i sam nieco przymgloną zielenią raduje wzrok nieznana połonina. Za zwartą kolumnadą świerków, na niewidzialnych kujawach śród boru porykuje bydło, ujadają psy i wykrzykują pasterze - swoje rozgłośne - "hyś"! Jakieś poszepty i pogwary napływają wraz z żywicznemi strugami od lasu i od ukrytych za ich szczeciną połonin dalekich. Tajemne to głosy i nieznaną przemawiają mową, zrozumiałą tylko dla gazdów i łeginiów, bo razporaz w milczeniu głowy unoszą, natężają słuch i myśl. Ale to bywa jedynie tam, gdzie niema obcych przybyszów, zgiełku i potrzeby podobania się komuś, pochlebiania i innych chytrych wybiegów, gdzie ryk samochodów i turkot dorożek nie płoszy rusałek, pląsających po moczarach leśnych, biesów, kryjących się w starych dziuplach i pod kłodami pokracznych omszałych wywrotów, a nawet samego djabła zapędza do najtajniejszego uroczyska, co przechowało się w niedostępnym ostępie puszczy Skarbków i Baworowskich. Ponad prądem szumiącym, gdzie rzekazwęża się raptownie, z brzegu na brzeg przerzucają się "beri" - huculskie mostki wiszące. Jeden z potoków, z lewej strony wpadający do Czeremosza Czarnego, niedaleko za ostrym, łukowatym załomem, to - Bystrzec. Kto zliczy, ile się z nim łączy zimnych strug i ruczajów, mknących z Marysza, Gadżyny i wschodnich lesistych uskoków Czarnohory? Tu, na słonecznych zboczach Kostrzycy i łagodnych "ułohach" Kosaryszcza wybujały wysokie, żyzne trawy rozległych sianożęci, najlepszych, ponoć na całej wierchowinie, a na nich - rozsiane chaty - "posedki" gazdowskie, tworzące wieś Bystrzec. Cichy, odludny, mniej od innych w Beskidzie huculskim dostępny zakątek! Nawet sami Huculi żabiowscy, dążąc w sierpniu na znany tu "chram" - odpust, kręcą głowami i uśmiechając się, mruczą: "Propań na wiky". - Taka już tam wiedzie droga!... Ku zachodniemu skraju Bystrzca spływają zielone ramiona Munczela, a z nich, zda się, ręką dotknąć można głównego grzbietu Czarnohory. Płaje rozbiegają się tam na wszystkie strony - jedne - na Kizie Ułohy, drugie - do miejsca, gdzie przedtem, zanim stopa ludzka po raz pierwszy odcisnęła tu swój ślad, zachodziły wypadki, przerażające rozpasaniem żywiołów. Jakaś siła potworna rozsadziła pierś gór, zadając olbrzymią, na wieki otwartą ranę - kotlinę głęboką, obramowaną spadzistemi spychami Kedrowatego, gdzie po wypaleniu zatrważająco powolnie odradza się kosodrzew i różanecznik; dalej płaje biegną zboczem Rebrów, jakgdyby przepasanych wstęgami jasnych warstwic skalnych, postrzępionemi iglicami Szpyci, razem tworzącemi owe "teatry kamienne", gdzie rojno bywa na ruskiego św. Jana, bo... czary tu się zagnieździły od niepamiętnych czasów. W szczelinach

i załomach Szpyci rosną cudowne zioła lecznicze, magiczne kwiaty i czarodziejskie korzenie, a siły im nadaje błąkający się w tem miejscu ponurem i groźnem - "on" - czarny duch gór, który rozłupuje i szarpie skały, obala najsędziwsze świerki i jodły, a nawet limby, rosnące na Kedrowatym, - te najmocarniejsze drzewa górskie. Tam też bije Krynica Doboszowa, tkwi w ziemi spróchniały już pień jawora, pod którym urodził się sławny opryszek i pozostało jego "skalne krzesło", gdy to po zabiciu djabła dumał tam nad czemś, do czegoś tęsknił i rwał się namiętnie. W okolicach Bystrzca przetrwały jeszcze stare lasy, może nigdy nietknięte ostrzem siekiery lub zębami piły, - zapewne nigdy, bo jakież to Wielkoludy i mocarze mogliby spuścić te kloce potężne aż na wart Czeremoszu? Dalej biegnie droga kamienista, tuż nad zwarliwą wstęgą rzeki. Nowe wpadają tam potoki, aż za Stepańskim szczytem z hukiem wyleje się Dzembronia. W środku pomiędzy, Smotrcem Kosaryszczem, Stepańcem i Skorusznym, gdzie Huculi zaczarowani bezkresną i wymowną dla nich dalą, nieruchomi i skupieni - patrzą ze szczytów na łańcuch Czarnohory, widzialny stąd od stożkowatej Howerli - do Popa Iwana, a nawet jeszcze dalej - do Czywczyna, Pietrosa, Alp Marmaroskich i Rodniańskich - to mglisto-niebieskich, to fioletowych w ostatniem dnia konaniu, - tam właśnie po ułohach rozproszyły się chaty wsi Dzembroni. Na trawiastych zboczach gór pasą się najczystszej krwi konie huculskie - te najmocniejsze - ciemnokare o oku ognistem i kopytach, skry krzeszących z kamieni, Jakaś trwoga zakrada się do serca, gdy spojrzenie pada na niezliczone, upadające już krzyże, i na kopce mogilne, trawą wysoką porosłe. To groby, posiane okrutną ręką wojny, bo tu przecież w r. 1916 załamała się szaleńcza ofenzywa rosyjska, niszcząca dobytek i osiedla Hucułów, a grożąca stoczeniem się ku równinom węgierskim, jak lawina - bez dróg i bez myśli. Czeremosza nie wstrzymują wspomnienia, więc biegnie dalej wśród zalesionych uskoków Skorusznego i Krętej. Pod ich wysokiemi zboczami, na łąkach wśród lasów widnieją mniejsze i większe zagrody, czworoboczne, wąskie i wysokie ordynki lub pochylone, jakgdyby zgrzybiałe strzechy na krzywych stojakach, i gdzie siano w zimie przechowują gazdowie. Potoki Charal i Petrów wlewają się do łożyska rzeki. W złocistej mgławicy widnieją szczyty Wielkiego i Małego Zmijewskiego. Tuż przy drodze wyrasta nagle cerkiew i najbliższe chaty wsi Zełenej, rozpoczynającej się na lewym brzegu Czeremosza w dość szerokiej kotlinie, gdzie spod Skopowej zbiega Hnylec bystry. Na grani kotliny zatrzymały się lasy i ciemną szatą okrywają stoki gór. Cisza panuje tu, jakgdyby ludzie bali się spłoszyć coś niezmiernie drogiego. Nawet psy nie szczekają i bydło nie myczy... Ta cisza starodawna spowija życie, bo go tu nie znieważyli jeszcze i nie zmącili przybysze. Przechowało się ono - strzeżone zazdrośnie w tych ostatnich bodaj bastjonach dawnego Beskidu, na rubieży Czarnohory. Tu wszystko ma prawdziwe odwieczne znaczenie i mądrą celowość. "Posedki" jakgdyby wyrosły tu wraz z najsędziwszemi smerekami, a może nawet z temi górami, co już tyle wypadków przeżyły, a nie ugięły się i nie rozpadły. Setki chat ukryły w swych rozłogach Beskidy, lecz tutaj przemawiają innemi głosami i coś wzruszającego szkli się w ich małych oczach - szybkach, pociągając ku sobie jakąś drażniącą zagadką...

Gazda, pan w swym kasztelu – grażdzie.

Domy huculskie o dwu lub cztero - spadzistych, nieraz kilkurzędowych dachach gontowych składają się, jak wszędzie tutaj z dwu izb frontowych, z reguły na południe, ku słońcu zwróconych, i "choromów", czyli sieni z wejściem do chlewu, gdzie w zimie przebywają owce, bezpieczne tu przed niedźwiedziem, a szczególnie przed wilkami. Z mieszkalnemi izbami - "prawaczką i liwaczką" prawie zawsze złączona jest "klit" - spiżarnia i skład rzeczy gospodarskich, odzieży, płótna, przędzy. U zamożniejszych powstają czasem inne też zabudowania, jak „ambar" - gdzie się przechowuje sprzęt gospodarski, stajnia - "kołesznia", a nawet - osobna obora. Do chaty huculskiej wchodzi się z "pidgania" - ciągnącego się od frontu werandy, zacienionego okapem dachu. Tu gazda i gazdynia pracują, przyjmują gości w lecie, tu bawi się dziatwa drobna. W izbach mieszkalnych nawprost drzwi wchodowych z sieni widnieje "obraznyk" - ściana z wizerunkami świętych, po prawej stronie duży piec - zwykły, kurny lub z "kahłą", połączoną z sienią, nie mającą pułapu, przez co dym rozchodzi się tam po całem poddaszu, nasycając strop, wiązania i gonty smołą

i nagrzewając dach, od czego gruba i ciężka powłoka śnieżna topnieje i zsuwa. się na ziemię. Na strychu, gdzie kłębi się dym, wędzą się powoli połcie mięsa i słoniny. Nad piecem - bardzo w swej budowie pierwotnym - bogaci Huculi stawiają nadbudówkę z żółto-zielonych kafli kosowskich, przechowując jednak zawsze tradycyjny zapiecek, gdzie można po ciężkiej wędrówce lub pracy w lesie i na rzece wysuszyć ubranie, postoły i wygrzać się do kości. Niektóre piece z takim okapem kaflowym, naprzykład - w Worochcie, Mikuliczynie, Żabiu, Krzyworówni, tworzą malowniczy szczegół, ale tam stoją one, jakgdyby okazy muzealne - na podziw zwiedzających. W pobliżu pieca ustawia się szerokie łoże, przed którem widnieje żerdka - nieraz misternie rzeźbione wieszadło dla koców i ubrania.

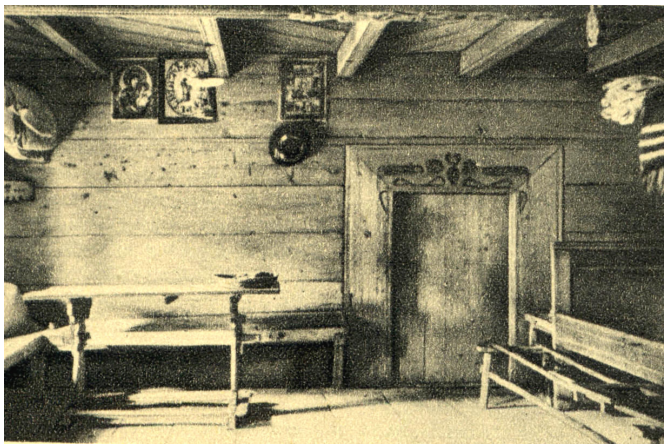

Zalane słońcem wnętrze chaty.

Wzdłuż ściany frontowej i tej, gdzie wiszą obrazy, ciągną się ławy. Na nich śpi młodzież, a w zimowe dnie pracują Hucułki. Na lewo od wejścia, na gładko heblowanej ścianie widnieją półki na miski i garnki - "połeci", a na specjalnej ozdobnej półce - "namysnyku" - droższe naczynia, stanowiące dumę gazdyni: świeczniki, bogato rzeźbione misy i talerze, rakwy i bokłahy. W kącie, gdzie zbiegają się ławy, stoi stół, duża, rzeźbiona skrzynia i kilka zydli. Podtrzymujące powałę belki - "swołoki", upiększone prostą a wytworną rzeźbą, jak również ozdobione nadproża i framugi okien, dziwnie odbijają od surowego zawsze frontu chaty. W oddali od sztucznego już nieco życia większych, przeciętych szosami wsi, gdzie przyjezdne mieszczuchy kręcą nosem na dym i żądają pieców "amerykańskich" lub zwykłych z kominami nad dachem a czasem nawet... kanalizacji i wody bieżącej, tu wszystko jest naturalne i niezbędne, jak te nieskończenie długie "sutky" - drogi, ujęte z obu stron woryniami, na kilometry biegnące poprzez łąki, aż hen - ku dalekim połoninom, gdzie się wypasa bydło. Niezbędne to jest, bo ma znaczenie praktyczne; niezbędne też dlatego, aby pod czarnemi dachami w dwa czy trzy "szary" przechowała się nietknięta tradycja huculska, barwna i bogata, ni to kobierce wschodnie, zlekka przyćmiona, ni to gobeliny, nieco już wyblakłe i zwiędłe. Tu tylko zrozumieć można długie rozmyślania Hucuła, szukającego szczęśliwego miejsca dla nowej chaty. Ileż to troski przeżyje gazda, aby dostrzec, gdzie bydło najchętniej kładzie się na wypoczynek, lub gdzie jest "muraszkowyna" - mrowisko, ale koniecznie na pagórku, na południowe słońce wystawionym, takie to bowiem miejsca dla stałych ,siedzib najszczęśliwsze są i najpewniejsze. A ileż kłopotów ma cieśla, zanim rozpocznie zawiązywać na złożonych kamieniach pierwsze wieńce przyciesi? Wie od dziadów-pradziadów, że trzeba wpierw z młodego świerka krzyż z nieściętemi na wierzchołku gałęziami ustawić, przystroić wełną i czarownem zielem dobrotliwem, okadzić, wodą święconą pokropić i pośrodku placu wkopać to drzewko magiczne. Patrzy on i nadsłuchuje, bo wszystko mówi mu, czy szczęśliwie będzie tu gazdował gospodarz mającego stanąć "posedka " Słucha więc trwożnie, czy nie kracze wrona, nie szczeka pies i nie skrzeczy sroka, za to cieszy się, gdy na kamieniach usiądzie pliszka, zaszczebioce jaskółka, zarży koń, odezwie się poryk wołu, a jeszcze bardziej, gdy łagodny wiatr poruszy cicho trawę i krzaki, rosnące wokół.

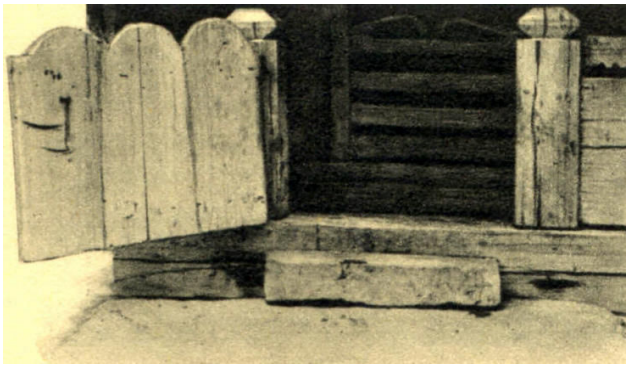

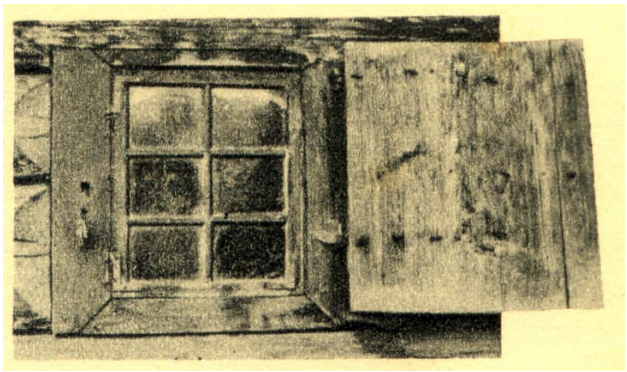

Wejście na „pidganie" i okienko chaty.

Tak to, mieszając uczucia chrześcijańskie z pogańskim i zabobonem, podtrzymuje cieśla niegasnącą watrę przy budowie i pomny na setki starodawnych

zwyczajów, kładzie i wiąże ściany aż pod strop. W nich będzie płynęło życie rodziny gazdowskiej, dla której poza Bogiem i świętymi patronami istnieją setki innych - większych i mniejszych dobrych i złych bóstw. Przetrwały one w puszczy, górach i wodach i wciąż jeszcze pomagają lub szkodzą Hucułowi od pierwszej chwili narodzin, gdy przylatuje dwunastu sędziów i siadłszy na oknie izby, wyznacza mu gwiazdę, która świecić mu będzie aż do skonania. Potem "sochtiwna baba" - znająca wszystkie tajemnice swego zawodu i wprawna w przyjmowaniu i pierwszem oporządzeniu niemowlęcia, odmówi naprędce formułę chrztu świętego, ale bardziej uważać będzie na to, aby ktoś, wchodząc do izby podczas pierwszej kąpieli, nie urzekł dzieciny, aby w porę i jak należy przyrządzić talizman z czosnku, gliny, węgla i ziemi ze śladu psa, a dopiero wtedy powiesić dziecku krzyżyk na szyi, ale koniecznie... z osiki i ciągła dręczy ją i położnicę trwoga, aby djablica nie "odmieniła" noworodka, nie wysuszyła mleka w piersi matki i nie budziła śpiącego drobiazgu. Na wszystkie czarcie szkody istnieją cudowne sposoby - siwa magja wieków ubiegłych - nieraz straszna i ponura. Na grad i ogień, na choroby i smętek, na nienawiść, zemstę i miłość, na epidemję bydła i na ich dochowek, na dzikich ludzi, obrośniętych wełną, co żyją po matecznikach, na "niawki", duchy leśne, połoninne i wodne, na dusze niechrzczone i na nieboszczyków, zmarłych bez sakramentu, co to straszą i szkodzą juhasom, tak często powtarzającym imię Chrystusa przy pozdrowieniu i w każdym niemal wypadku życia codziennego, - na wszystko znane tu są skuteczne "odczyny". Wielkanoc i inne święta związano tu z niezliczonemi obyczajami i przesądami pogańskiemi. Huculska wilja - to "wieczerza tajemna" i straszna, gdyż przy stole wraz z rodziną gazdy zasiadają cienie jego przodków tych nawet, którzy z rzymskiemi walczyły legjonami. Wieczerzę tę zawsze z dwunastu dań spożywają Huculi na sianie, czterech ząbkach czosnku i ziarnach pod serwetą, a przed przystąpieniem do stołu wykonują niebywale zawiłe i długotrwające czynności magiczne, aby "zawiązać" licho, odpędzić wiedźmę i złe duchy, aby procesy sądowe pomyślnie wypadły, błyskawica nie dotknęła domu a drapieżny zwierz, choroba, lawina i powódź nie zabrały bydła i pszczół. Gazda, trzymając w ręku misę z jadłem świątecznem i siekierę wychodzi na dwór i zaprasza na wieczerzę niewidzialnych czarowników, wilki, niedźwiedzie, lisy, żeby mu nie szkodziły, nawet... burzę prosi do stołu, wreszcie huculska rodzina zanosi modły za dusze tych, którzy niewiadomo gdzie i kiedy wyzionęli ducha, przywaleni ciężkim drzewem, zbłąkani na upłazach i na "czapaszach" zaśnieżonych, pochłonięci przez wściekłą kipiel rzek, zabici na drogach nieznanych... W końcu kadzidłem "wypędziwszy" czarta z izby, zasiada gazda z rodziną przy stole wigilijnym. Przy spożywaniu tego, co nawarzyła i napiekła gazdynia, i po skończonej wieczerzy trwają do świtu praktyki magiczne, dziwne okrzyki "Prrra, szkne", siadanie w milczeniu na ziemi, aby pszczoły szczęśliwie się chowały; wróżby gaździny i dziewuch, zdmuchiwanie miejsca na ławie przed siadaniem, aby nie zgnieść jakiej duszy, niewidzialnie biorącej udział w wieczerzy, która istotnie jest "tajemną", przepojoną setkami guseł, znaków i przepowiedni, drażniących i podniecających bujną wyobraźnię ludzi Wierchowiny. Na drugi dzień świąt śpieszą Huculi do cerkwi "na zbory", członkowie bractw cerkiewnych obchodzą po kolędzie najdalsze nawet zagrody parafji, podzieliwszy się na "tabory" z tancerzami, wymachującymi toporkami, i z jakimś błaznem na koniu; zaglądają do każdej chaty, śpiewając po drodze: "Hoj, wijszło bractwo rano z cerkowci, hoj, daj Boże"!

„Zabawy wielkanocne Huculów" – Piotr Stachiewicz

Nowy Rok, Jordan, wielki post i wielki tydzień, czterdziestu męczenników - patronów rybaków, Zielone Świątki, św. Jana i Mikołaja, dni św. Jura, Borysa i Hliba - obrońców przed głodem! Kosmy i Damjana - patronów sadowników i drwali - dni, obchodzone przez kościół chrześcijański, są tu głęboko przesiąknięte słowiańskiem i niesłowiańskiem pogaństwem. Dziwne też święto utrzymało się na Huculszczyźnie, zdaje się, więcej nigdzie nie spotykane. Wielkanoc rachmańska! Huculi obchodzą ten "rachmańskyj wełykdeń", czcząc jakichś rachmanów starych, bogobojnych mnichów, czy też karzełków, żyjących gdzieś na wschodzie. Uważają ich gazdowie za pośredników pomiędzy Bogiem a ludźmi, a więc "za żywych bogów na ziemi - niewątpliwy wpływ Islamu i Buddyzmu, zresztą samo słowo nawet zdradza arabskie niezawodnie pochodzenie. Dzień

rachmańskiej Wielkanocy związany jest z wzruszającym obyczajem, przypominającym straszliwe niegdyś najazdy tatarskie i ciężką rękę turecką. W tym dniu bowiem pobożni Huculi wrzucają do rzeki skorupy jaj, aby dopłynęły do Stambułu, gdzie żyjący tam potomkowie wziętych niegdyś do niewoli Hucułów nie wiedzą, że minął już dzień Wielkanocy, - największe święto świata chrześcijańskiego.

„Zabawy wielkanocne Hucułów" – Piotr Stachiewicz. „Dzwonnica" i „Prosta łoza".

Jak okiem sięgnąć, przez bory, łąki i góry po płajach i po bezdrożu idą i jadą konno gazdowie i kobiety, obładowane ciężkiemi worami - "besahami", odziedziczonemi, sądząc z nazwy, wejdzie po Tatarach. Czemże to je wypchały gazdynie gospodarne? Odświętną odzieżą mężów i swoją, obuwiem, "prykrasami" i "łyskawkami", aby po dalekiej i uciążliwej nieraz drodze do cerkwi z dalekiego osiedla móc się przebrać i "pryludnie" sąsiadom się pokazać. W innych workach wiezie gazdynia święcone, by je pop wodą świętą skropił i wszelkie siły nieczyste odpędził tem bardziej, że wiezie nietylko "paskę" - ozdobne pieczywo dla ludzi, lecz, co jest ważniejsze, - i dla bydła. W jednej połowie besahów ułożyła gazdynia ogromne, rumiane, w kwiaty i wszelkie esy-floresy wypieczone "paski" z białej mąki, a w drugiej - duży, pięknie pisany "paskewnyk", napełniony kawałkami ciasta obrzędowego, kiełbasy, słoniny, mięsa, sera, jaj, masła; są tam też barwne "pisanki" i butelka z wodą, w której gotowały się jajka, bo najskuteczniejszy to lek na choroby oczu. Tamże umieściła Hucułka korzeń chrzanu z liśćmi, czosnek i szczyptę soli. Tak obładowani jadą lub idą do cerkwi. Piękny to widok! Na ciemnem tle boru majaczą białe keptary i gugle kobiet, niby białe skrzydła motyla; przez jasnozielone młode zarośla i na łąkach migocą czerwone sieraki gazdów i ich czarne kresanie, łyskające blachą lub szeroką opaską z "bajorków"; świecą się toporki i nabijane mosiądzem taszki, pasy, tabiwki, łańcuszki i pochwy noży. Przed ogrodzeniem cerkiewnem umyje się, oczyści i poprzebiera lud chrześcijański pobożny, miłujący Boga, który gazduje sobie gdzieś tak straszliwie daleko i wysoko, że djabeł i jego czeladź rządzą się na ziemi, jak we własnej chacie, ludziom życie zatruwając i obrzydzając; w skupieniu głębokiem wejdzie Hucuł do kościoła, aby bić pokłony ziemne, żegnać się niezliczoną ilość razy i cieszyć się radosną wieścią, od wieków powtarzaną, iż Chrystus zmartwychwstał - alelujal Po mszy świątecznej wyjdą wszyscy tłumnie na dziedziniec, rozłożą swoje święcone, ustawią rzędami ozdobne paskewnyki i słuchając śpiewów liturgicznych, znów troskać się będą, myśląc, czy dobrze tego ranka stąpili na ostrze siekiery, gdyż w "wełykdeń" żelazo ma siłę osobliwą; czy nie zapomną "odczynić" czarne moce, bo wiedźmy dziś swawolą złośliwie, żmije budzą się ze snu, "lisowyki" i wszelkie duchy szaleją, wściekłe i zrozpaczone... Ale któż by zliczył wszystkie obrzędy starodawne, o których muszą pamiętać gazda, gazdynie, łeginie urodziwi i dziewuchy, czujące już, że serce im bić poczyna mocniej, to znów omdlewa w słodkiej, pokornej niemocy... Wszystko to jest przedziwnie stare - starsze od butwiejących po borach świerków, co już z pionów całą wylały żywicę i na próchno rozpadać się jęły i starsze od świętej treści obrazów na szkle malowanych - a tu, gdzie nie słychać sygnału aut i zbyt ostrych głosów ludzi miejskich, ma to urok nieprzeparty, wzrusza i działa na wyobraźnię, ni to opowieść tajemnicza, śpiewana głuchym, rzewnym głosem starca o oczach pełnych łez i skier gorących.

Piotr Stachiewicz *- malarz i ilustrator. Urodził się 29 października 1858 w Nowosiółkach Gościnnych na Podolu. Po ukończeniu studiów na Politechnice Lwowskiej uczył się w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, w latach 1877-83 m.in. u Jana Matejki, Władysława Łuszczkiewicza oraz Floriana Cynka a następnie przez dwa lata w Akademii Monachijskiej u O. Seitza. Po studiach odbył podróż do Włoch (1886), a po powrocie zamieszkał w Krakowie. Należał do TPSP i przez długie lata pełnił funkcję prezesa Towarzystwa. Tematem prac artysty, które malował w technice olejnej i pastelowej, były sceny rodzajowe i religijne, z których cykl Legenda Matki Boskiej z 1894 r. przyniósł mu znaczną popularność. Jest autorem dekoracji mozaikowej kościoła OO Jezuitów. Tworzył także ilustracje do powieści Henryka Sienkiewicza, poezji Adama Mickiewicza oraz Marii Konopnickiej. Zainicjował powstanie krakowskiego dwutygodnika "Świat", wraz z Włodzimierzem Tetmajerem w 1931r. wydał album kolorowych reprodukcji Wieliczka. zm. 14 kwietnia1938 w Krakowie. Pochowany jest w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Rakowickim.*

Wielkanoc rachmańska (rachmanowska) *- święto huculskie obchodzone co roku, w sześć tygodni po Wielkanocy. Zgodnie z dawnymi przekazami Huculi byli z dziada pradziada spokojnym, rachmanowym narodem – to znaczy łagodnym, miłosiernym. Wśród legend huculskiej Wierchowiny było też miejsce na wizję krainy rachmańskiej, która mieściła się po stronie wschodzącego słońca, w niedostępnych górach, otoczonych ze wszystkich stron wodą. Żyjący w niej ród, Rachmanie odznaczali się łagodnością, przyjaźnią, miłosierdziem. Nie znali oni niezgody i kłótni. Byli doskonałymi istotami, dobrymi duchami, pośrednikami między niebem a ziemią. Z takich mieli wywodzić się potomkowie Wielitów – Huculi.*
Stanisław Vincenz: „Na wysokiej połoninie, t. 1: Prawda starowieku – obrazy, dumy i gawędy z Wierchowiny Huculskiej"

Rysunki i zdjęcia pochodzą z książki „Hucylszczyzna".

Indeks

worynie *- drewniany płot huculski, który łatwo można rozebrać i ponownie założyć (np. aby przepuścić było lub konie)*
caryna, carynka *- łąka kośna*
kujawa *- wicher lub odmiana terenu równinnego, wydmowego, narażonego na silne jego podmuchy.*
łegiń *- młodzieniec, junak, zuch*
ułohy *(ułogi) - schody skalne*
ordynek *– szereg, rząd*
postoły *- rodzaj kierpcy*
rakwa *(**dżezwa**) - naczynie kuchenne w kształcie kolby stożkowej, zazwyczaj miedziane, wyposażone w długą rączkę i służące do przygotowywania kawy. Nazwa pochodzi od arabskiego* ja*dh*wa(t) *- płonący węgiel. Rozpowszechnione w Turcji, na Kaukazie i w Rosji.*
płaj *- szeroka ścieżka pasterska*
keptar *- rodzaj serdaka, kożuszka*
gugla *- biała sukienna peleryna weselna*
kresania *- kapelusz męski z szerokim rondem*
sieraki *- szarawary.*
tabiwka *- toporek,*
czapasze *- góry,*
bajorki *- ozdoby*

Rozmowa Dziadka z Wnukiem

Halina Matuszewska

Kim ty jesteś? Sybirakiem.
A dlaczego? Bo jestem Polakiem.
Czemu byłeś tak daleko,
Za dziesiątą górą, rzeką?
Miałeś dziadku tam mieszkanie
I jedzenie, i posłanie?

Miałem wnuczku łagier w lesie,
Pryczę z drzewa, kromkę razowego chleba,
Wodę, która w lesie płynie,
A nad sobą błękit nieba.

W zimie miałem śniegi białe,
W lesie ptaki mi śpiewały
O Ojczyźnie co daleko
Za dziesiątą górą, rzeką.

Skuta była kajdanami
I płakała razem z nami,
Bo najlepszych swoich Synów
Miała w łagrach i w Katyniu.
Jestem wnuku Sybirakiem
I też białym, polskim ptakiem,
Który z gniazda był wyrwany
I na Sybir hen wygnany.

Ale czemu dziadku drogi,
Przecież Cię bolały nogi
Kiedy szedłeś tak daleko,
Za dziesiątą górę, rzekę?

Szedłem wnuku, a Workuta
Mrozem wtedy była skuta.
Bracia moi zamarzali
I padali tam gdzie stali.
W śniegu białym ich grzebano
I tak biednych zostawiano.
Tylko krzyżyk z białej brzozy
Na pamiątkę ktoś położył.

Pokaż Dziadku mój kochany
Swoje blizny, swoje rany.

Miałem rany, mam też blizny,
To w ofierze dla Ojczyzny!
Tam na tej nieludzkiej ziemi
Sercem byłem między swemi,
Pracowałem i cierpiałem,
Zwyciężyłem i przetrwałem!

Kto ty jesteś? Polak mały!
Jaki znak twój? Orzeł biały!

I ja tego się uczyłem,
Kiedy w Twoim wieku byłem.
Słowa te tak dobrze znane
Były lekiem na te rany.
Były dla mnie kromką chleba
I z nią mogłem wprost do nieba.
Ale Pan Bóg mnie zachował,
Żebym wnuczku cię wychował
I bym tu na polskiej ziemi,
Żył i umarł między swemi!

Ten piękny wiersz Haliny Matuszewskiej dedykuję wszystkim Tłumaczanom oraz ich sympatykom, którym bliska jest historia Tłumacza i Polski. Dziękuję za wszystkie Wasze wzruszenia, które ten wyśpiewany przeze mnie wiersz Wam przyniósł.

Anna Bocheńska (Panachida)

Z życia Tłumaczan

Moja historia cd.

Elza Boniowska Andrzejaczek Stylianides

Rozdział XIV

Bogusia zachorowała na żółtaczkę i awitaminozę. Okazało się, że wszystkie dzieci lepiej znosiły pobyt w chłodnym klimacie. W cieplejszym i wilgotniejszym, nawet przy lepszym i bogatszym w witaminy pożywieniu, wyniszczony organizm stawał się podatniejszy na choroby. Bogusia przewracała się i kręciła na polowym łóżku, jej wzrok stał się apatyczny i stracił blask. Karmiłam ją gulaszem, który kucharz obozowy przygotowywał dla nas każdego dnia. Gulasz był bez smaku i któregoś dnia Bogusia poprosiła o czosnek. Przyszła i mi do głowy myśl, aby udać się do miasta i zdobyć trochę czosnku, a także octu dla nadania potrawom smaku. Poprosiłam kobietę z naszego namiotu by zaopiekował się Bogusią i udałam się do miasta. Gdy po obozie rozeszła się wieść, że wybieram się do miasta, trzy kobiety postanowiły mi towarzyszyć. Żadna z nas nie miała pieniędzy, ale miałyśmy doświadczenie w proszeniu o pomoc.

Droga do miasta zajęła nam pół godziny i była także doświadczeniem, dzięki któremu miałyśmy okazję poznać trochę Indie i ich mieszkańców. Ulica była pełna przechodniów, rowerzystów oraz ludzi pchających ręczne wózki. Bezpańskie krowy bez przeszkód chodziły po ulicy, a ludzie bez jednego słowa ustępowali im z drogi. W Indiach krowy zaliczone są do świętych zwierząt i nam wydawało się nieprawdopodobnym, że w kraju, gdzie 90% mieszkańców żyło na granicy ubóstwa nie przeznaczono tych zwierząt na rzeź. Na ulicy panował ogłuszający hałas. Wszędzie słychać było krzyki, przekleństwa zagłuszane przez odgłosy zwierząt. Większość ludzi ubrana była podobnie, czyli w buty i kawałek kolorowego materiału owiniętego wokół ciała. Gdzieniegdzie widać było kupców w ciemnych garniturach przeciskających się przez tłum. Panował upał nie do zniesienia i wszędzie unosiły się roje much. Po dotarciu na targowisko ze wstrętu przymrużałyśmy oczy i zatykałyśmy nasze nosy. Pierwszym napotkanym straganem był stragan z mięsem. Leżące na stole kawałki mięsa roiły się od much. Na innym stoisku zauważyłyśmy gnijące owoce i warzywa znajdujące się w stanie budzącym odrazę.

Ostrożnie torowałyśmy sobie drogę przez zbity tłum, dopóki nie zobaczyłyśmy straganu z wiszącymi wiązkami czosnku. Kiedy udało nam się zwrócić na siebie uwagę sprzedawcy, wskazałyśmy na czosnek. Ponieważ byłyśmy jedynymi Europejkami, dla właściciela straganu oczywistym było, że przyszłyśmy z obozu. Straganiarz wcisnął w nasze ręce wiązki czosnku. Chciałyśmy również dostać trochę octu, lecz nie mogłyśmy dotrzeć go nigdzie znaleźć. Wszelkimi sposobami próbowałyśmy mu objaśnić czego jeszcze potrzebujemy. Przez dziesięć minut oferował nam wszystko po kolei, co znajdowało się na stoisku. Ściskając jego dłoń i uśmiechając się w geście pożegnalnym udałyśmy się w drogę powrotną do obozu. Zajęte „rozmową" nie zauważyłyśmy, że młody, dobrze ubrany Hindus obserwował nasze próby porozumienia się z właścicielem straganu. Po chwili podszedł do nas i używając znaków objaśnił nam że chce nas zabrać, abyśmy coś zjadły. Trochę obawiałyśmy się z nim pójść, lecz w końcu przełamałyśmy strach i potakiwaniem i uśmiechami wyraziłyśmy zgodę na jego propozycję. Ostatecznie on był sam, a nas było trzy. Poprowadził nas do wyjścia z targowiska, wzdłuż głównej ulicy do restauracji. Od lat nie byłam w restauracji i postanowiłam dobrze spędzić czas. Nigdy nie zapomnę tego posiłku. Jadłyśmy kotlety, ziemniaki, jarzyny, przegryzając chlebem i chociaż wszystko bardzo mi smakowało, miałam wyrzuty sumienia zajadając się tymi pysznościami, gdy tymczasem Bogusia pozostała chora i głodna w obozie. Część mojego posiłku zawinęłam w serwetkę, aby jej zanieść. Po skończonym jedzeniu uprzejmy Hindus poprowadził nas w dół ulicy i ku naszemu zdziwieniu wsiadł do samochodu i skinieniem ręki zaprosił nas do samochodu. Zawiózł nas do naszego obozu, a my przy pożegnaniu dziękowałyśmy mu za okazaną nam życzliwość.

Stopniowo robiło się coraz bardziej upalnie i duszno. Muchy znajdowały się wszędzie. Wraz z nastaniem upałów stan mojej córki pogorszył się. Dostała biegunki, której obawiałam się najbardziej i wydawało się, że życie z niej uchodzi na moich oczach. Moje dziecko walczyło z chorobą i starało się nie poddawać. Czasami wyglądało, że czuje się lepiej, a czasami traciłam nadzieję na jej wyzdrowienie. Po sześciu tygodniach pobytu w Indiach, załadowano nas na jeden z wielu statków płynący do Afryki. Płynęliśmy w konwoju ochranianym przez okręty Marynarki Brytyjskiej

Wojennej i przydzielone konwojom po tym, jak kilka statków zostało zatopionych przez niemieckie łodzie podwodne. Na statku, którym płynęłam wszystkie dzieci bardzo chorowały, a my patrzyliśmy na ich powolne umieranie. Większość z nich była w tak fatalnym stanie, że wymagała ciągłej opieki i chociaż dołożyliśmy wszelkich starań, jedynie kilkoro dzieci przeżyło długą i męczącą podróż. Bogusia przez całą podróż pozostawała w wydzielonym miejscu, przeznaczonym dla chorych i stan jej stopniowo się pogarszał. Pozostawałam cały czas przy niej, pomagając doktorowi opiekować się nią, a także innymi dziećmi. Dziękowałam Bogu, że byłam zdrowa, ponieważ lekarz miał tak wielu pacjentów, że nie był w stanie poświęcać Bogusi zbyt wiele uwagi. Wszystkie posiłki spożywałam w pomieszczeniu chorych. Wyżywienie było wspaniałe przez cały czas rejsu, lecz jadalnia była pusta, ponieważ każdy cierpiał na chorobę morską.

Podczas dziesięciodniowej podróży morskiej, cała moja troska i uwaga skupiała się na pogarszającym się stanie zdrowia Bogusi, ale gdy miałam chwilę oddechu i czas, zastanawiałam się nad przeszłością i nad tym, co może czekać nas w przyszłości. Przeżywszy potworną nawałnicę pierwszej zimy, w czasie zesłania w Rosji moja wiara w Boga uległa wzmocnieniu i pewnie pomogła opiekować się Bogusią, Moim jedynym życzeniem było, aby przeżyć oraz żeby Bogusia wyzdrowiała. Widziałam wiele dzieci, które zmarły w podobnym stanie, tak więc tylko ja wiedziałam, że jej szanse na przeżycie były minimalne. Często myślałam o moim mężu. Po otrzymaniu zwrotu pocztówki wysłanej dawno temu na jego ostatni adres w Rosji z dopiskiem "adresat nieznany" uświadomiłam sobie, że najprawdopodobniej nie żyje. Ciągle jednak żyłam nadzieją, że to nie może być prawdą i może jednak żyje. Starałam się nie tracić nadziei i odważnie postanowiłam stawić czoło temu co miało nadejść. Wiedziałam, że muszę przetrwać i próbować rozpocząć nowe życie, niezależnie od tego co do tej pory się wydarzyło.

Rozdział XV

Minęło dziesięć dni i statek w grudniu 1942 roku dobił do brzegów Afryki. Bogusia była w stanie krytycznym. Tak byłam zmartwiona stanem jej zdrowia, że nie obchodziło mnie do jakiego portu statek przypłynął. Zabrawszy kilka ubrań, jakie dostałam od Czerwonego Krzyża oraz Bogusię, zeszłam ze statku na brzeg. Z rozmów dochodzących do mnie usłyszałam, że byliśmy w Mombasie, w Kenii. Zdezorientowanych i wyczerpanych podróżą polskich uchodźców natychmiast wsadzono do pociągu i zaczął się następny etap naszej podróży. Podróż Ta miała trwać dziesięć godzin i miała się okazać jedną z najgorszych w moim życiu. Bogusia traciła przytomność i wymiotowała. Na statku, którym płynęłam, wszystkie dzieci straszliwie chorowały, a my patrzyliśmy na ich powolne umieranie. Dowiedziałam się, że w wagonie na drugim końcu pociągu jedzie polski lekarz. Zrozpaczona, postanowiłam zostawić Bogusię pod opieką znajomej, a sama wyruszyłam na poszukiwanie lekarza. Przeciskałam się przez ludzi stłoczonych w korytarzach wagonu, ciągle pytając, gdzie mogę znaleźć lekarza. Wreszcie go znalazłam i gdy go zobaczyłam, poczułam znaczną ulgę. Większość dzieci podróżujących pociągiem była w tak fatalnym stanie, że wymagała ciągłej opieki lekarskiej. Podeszłam do lekarza i wyszeptałam: "Proszę pójść ze mną ,moja córka jest bardzo chora. Straciła przytomność. Proszę mi pomóc" „Ja nie jestem medykiem. Nie mogę nic zrobić" - odpowiedział. "Błagam, proszę tylko przyjść i popatrzeć na nią. Ona wymiotuje i ma biegunkę. Boję się, że to jej ostatnia podróż" - błagałam go nadal. W końcu zgodził się pójść ze mną i zbadał Bogusię. Była jeszcze żywa. Powiedział tylko, że musi napić się wody. Wyruszyłam jeszcze raz na desperackie poszukiwanie wody. W końcu, ktoś dał mi pół szklanki wody. Było to wszystko co mogłam dostać przed dotarciem do miejsca przeznaczenia, czyli do Nairobi.

Na dworcu w Nairobi przywitały nas tłumy ludzi, wiwatujących, oferujących nam kanapki i napoje. Był nawet zespół muzyczny. Witano nas tak ponieważ był to pierwszy pociąg z polskimi uchodźcami, jaki przybył do Nairobi więc wszyscy tłumnie wylegli na nasze przywitanie. Wysiedliśmy z pociągu gdy po chwili zbliżył się do mnie polski doktor i powiedział: "Zdecydowałem, że pani i córka pojedziecie do tutejszego szpitala i musimy znaleźć kogoś, aby was tam zawiózł". Sprawiło mi to radość nie do opisania, nawet gdyby oznaczało, że byłabym oddzielona od reszty uchodźców. Para Anglików zaoferowała nam podwiezienie do szpitala. Podróż odbyliśmy w milczeniu, ponieważ ja nie znałam angielskiego, a Anglicy polskiego lub rosyjskiego. Szpital, w którym miałyśmy pozostać kilka tygodni, okazał się duży i nowoczesny lecz ja nie mogłam się z nikim porozumieć. Gdy przybyliśmy o północy Bogusia była nadal nieprzytomna. Aby dowiedzieć się, co się wydarzyło, personel szpitala obudził Czeszkę, która rozmawiała po rosyjsku. Z jej pomocą udało mi się wyjaśnić lekarzowi stan zdrowia Bogusi.

Umieszczono nas w tym samym pokoju. Po chwili weszła pielęgniarka niosąc wodę dla Bogusi i trzymając w ręce jakieś tabletki. Na migi pokazała

mi, że powinnam zażyć je i położyć się spać. Na znak odmowy potrząsnęłam głową, ponieważ chciałam czuwać nad moją córką. Pielęgniarka nie nalegała na mnie i pozostała z nami na całą noc. Rano lekarz podał Bogusi kilka leków. Od tego czasu jej oczy były otwarte lecz nadal pozostawała nieprzytomna. W takim stanie pozostawała przez cały tydzień. Bardzo często podawano jej wodę, aż do dnia gdy zobaczyłam, że porusza powiekami. W tym momencie uświadomiłam sobie, że najgorsze przeszło i Bogusia odzyska zdrowie. Przez następne dwa dni nie opuszczałam sali siedząc samotnie, nie licząc codziennych wizyt personelu szpitalnego. Życzliwy lekarz przyniósł nam trochę ubrań, ponieważ nasz skromny dobytek pozostał w pociągu. Dwa lub trzy dni później, podczas wizyty pokazując na migi, zapytał mnie, czy nie miałabym chęci robić na drutach. Skinęłam głową przytakująco i wkrótce przyszedł, przynosząc mi włóczkę i druty. Wszyscy odnosili się do mnie z wielką życzliwością, ponieważ ja i Bogusia byłyśmy pierwszymi uciekinierami, którzy przebywali w szpitalu. Po nas, było wielu innych. Kilka dni później, gdy Bogusia poczuła się znacznie lepiej, mogąc jeść i rozmawiać ze mną, pielęgniarka przyszła na naszą salę i gestami pokazała, abym udała się razem z nią. Wzięłam Bogusię na ręce i podążając jej śladem poszłam do izolatki. Bogusię umieszczono w łóżku obok Czeszki, która miała pomagać mi jako tłumaczka. Od tej chwili mogłam kontaktować się z personelem Natychmiast powiedziałam, że Bogusia potrzebuje więcej pożywienia, bo do tej pory zjadała swoją i moją porcję. Mogłam wreszcie zadawać pytania których tyle nagromadziło się w mojej głowie - *"Kiedy zostaniemy odesłane do obozu uciekinierów? Jak możemy tam dojechać?" „Dlaczego chcecie opuścić szpital tak wcześnie?"* - pytał lekarz, który okazywał mi tyle serca.
"Chcę być wśród swoich rodaków i rozmawiać w swoim języku"- wyjaśniłam przez tłumaczkę.
Lekarz odpowiedział mi, że w tej chwili nie możemy opuścić szpitala i musimy czekać na następny pociąg, który przybyć może za dwa tygodnie.

Tak więc pozostałam w szpitalu, pomagając opiekować się Bogusią, której stan poprawiał się z dnia na dzień. W porozumieniu się z personelem szpitalnym korzystałam z pomocy Czeszki. Po dwutygodniowym pobycie w szpitalu, poprosiłam, aby zabrano mnie do Polskiego Konsulatu w celu sprawdzenia, czy możemy liczyć na jakąś pomoc z ich strony. Nie miałam żadnych pieniędzy i chciałam uzyskać konkretne informacje dotyczące naszej przyszłości. Wraz z Bogusią taksówką udałyśmy się do konsulatu na rozmowę. Po rozmowie z konsulem i otrzymaniu 10 szylingów wróciłam do szpitala. Dopiero później uświadomiłam sobie, jaką małą kwotę otrzymałam. Musiało mi to wystarczyć do czasu przybycia następnego pociągu z polskimi uchodźcami. Przez ten czas Bogusia prawie wyzdrowiała i za wyjątkiem kilku wstrętnych pęcherzy na rękach i stopach, ostatnich oznakach jej potwornej choroby wyglądała i czuła się coraz lepiej.

Po przybyciu następnego pociągu z uchodźcami, wsiadłyśmy do niego, zabierając ze sobą dobytek otrzymany w szpitalu. Po wielu godzinach podróży i pokonaniu 800 mil. dotarliśmy do Kampali w Ugandzie. Razem z innymi uchodźcami przywieziono nas autobusami do specjalnie zbudowanego dla nas obozu Koja. Koja znajdowała się nad brzegami Jeziora Wiktoria, w odległości 40 mil od Kampali. W trakcie podróży do obozu zauważyłam rozciągające się wszędzie wysokie trawy oraz bujną roślinność. Krajobraz ten był zupełnie odmienny od krajobrazów w Polsce i w Rosji. Obóz zbudowano z glinianych chat, z dachami pokrytymi trawą, prostymi drzwiami i oknami bez szyb, w których nas rozlokowano. W obozie tym znajdowało się ponad trzy tysiące uchodźców. Każda chata składała się z trzech pomieszczeń. Środkowe pomieszczenie pełniło rolę pokoju dziennego, a po obu stronach znajdowały się sypialnie wyposażone w dwa łóżka. W pokoju dziennym znajdował się stół i kilka krzeseł. Prymitywna kuchnia, na której przygotowywaliśmy posiłki znajdowała się na zewnątrz. Była to płyta żelazna pod którą rozpalałyśmy ogień. Wraz ze mną i Bogusią w chacie zamieszkała kobieta z dwójką dzieci, starsza wdowa z dorosłą córką i młoda dziewczyna z bratem, których matka była w wojsku. Po przywitaniu udałyśmy się do obozowego szpitala prowadzonego przez polskich lekarzy i pielęgniarki. Ręce Bogusi powoli goiły się i wymagały dalszej opieki lekarskiej.

Od początku naszej tułaczki rozpoczętej w 1939 roku miałyśmy za sobą ogromny szmat drogi i teraz w Afryce zaczynałyśmy z Bogusią nasze nowe obozowe życie. Wkroczyłyśmy w następny etap walki przetrwanie, odmierzając czas do dnia, w którym skończy się wojna, a my będziemy mogły powrócić do domu, do Polski. Kiedy Bogusia całkowicie wyzdrowiała, udałam się do kierownictwa obozu i poprosiłam o pracę. Praca jaką otrzymałam polegała na krojeniu mundurów, ubrań dziecięcych i roboczych, za którą otrzymywałam trzydzieści szylingów miesięcznie. Niezależnie od zapłaty Czerwony Krzyż dostarczał nam racji żywnościowych w postaci mleka, masła, chleba, mięsa i ryb. Już nigdy z Bogusią nie byłyśmy głodne. Poznawałam przeżycia ludzi mieszkających w mojej chacie. Dzieci z powodu braku zabawek, bawiły się trawą,

patyczkami i kamieniami. Jedno z dzieci, chłopiec w wieku dwunastu lat był chory na epilepsję i miewał ataki padaczki, podczas których tracił przytomność z objawami piany w ustach. Nie mógł uczęszczać do szkoły otwartej, przez kierownictwo obozu.
W tym czasie napisałam list do moich sióstr w Polsce, informując ich o kolejach naszego życia. Do tego czasu moja siostra Basia wyszła za mąż. Później, jej dwuletnia córka straciła mowę na okres dwóch lat w wyniku wybuchu bomby obok ich domu. Czasami chciałam, aby były razem ze mną. Trudno było sobie wyobrazić, jak sobie dają radę w Polsce.

Sześć miesięcy później kierownictwo obozu postanowiło otworzyć dom pielęgniarki dla polskich pielęgniarek pracujących w szpitalu rządowym oraz mieszkających w chwili obecnej na terenie obozu. Oprócz swoich normalnych obowiązków pełniły one również rolę tłumaczy dla pacjentów obozowych. Ja zostałam skierowana do urządzania nowych kwater mieszkalnych i szycia ubiorów dla pielęgniarek. W tym celu otrzymałam maszynę do szycia. Wraz z Bogusią i starszą panią przeprowadziłyśmy się z obozu do domu noclegowego. Po zakończeniu wszystkich prac związanych z wyposażeniem domu pielęgniarek i szyciem odzieży poproszono mnie o powrót do obozu. Przerażona myślą o powrocie do atmosfery obozowej i życia jakie w nim panowało, odmówiłam. Powiedziałam, że znajdę pracę i zapewnię sobie i Bogusi utrzymanie bez czyjejkolwiek pomocy. Spotkałam Czecha, który zaoferował mi szycie koszul, jako pracę chałupniczą z wykorzystaniem obozowej maszyny do szycia. Pozostałam więc w domu noclegowym zarabiając szyciem koszul, podczas, gdy Bogusia bawiła się przy mnie.

Po upływie dwóch miesięcy, otrzymałam od kierownictwa obozu list z prośbą o zwrot maszyny do szycia. W przesłanej odmowie zwrotu napisałam, że nie otrzymuję obozowych racji żywnościowych i jedyną rzeczą, którą kierownictwo mogłoby dla mnie zrobić, to dalej wypożyczać maszynę. W miarę upływu czasu, miałam coraz więcej klientów spośród lokalnej społeczności, zamawiających ubrania szyte na miarę i mogłam siebie i Bogusię utrzymać. W końcu kierownictwo obozu odebrało mi maszynę do szycia. Poskarżyłam się mojemu czeskiemu pracodawcy, że nie mogę dalej wykonywać swojej pracy. Zaprowadził mnie do Hindusa, który bezpłatnie pożyczył mi maszynę do szycia na nieograniczony okres czasu. Czasami szyłam również dla żony gubernatora. Zachęcona przez pielęgniarki, które mieszkały ze mną, powoli zaczęłam uczyć się angielskiego. Bogusia po trzech miesiącach mówiła płynnie po angielsku i szybko przyzwyczaiła się do nowego sposobu życia.

Zakończenie.

Zwracając się do Polskiej Ambasady i Czerwonego Krzyża podjęłam ostatnią próbę odnalezienia mojego męża. Poinformowano mnie, że zginął w Katyniu, chociaż nie przekazano mi dokumentu potwierdzającego jego śmierć. Po trudnym okresie życia w Kampali, pracy i ciągłego wiązania końca z końcem, przedstawiono mi Greka cypryjskiego, który został moim drugim mężem. Razem mamy dwóch synów - Michała i Krzysztofa. Po skończonej wojnie, część Polski, w której żyłam znalazła się w granicach Związku Radzieckiego i moje siostry osiedliły się w innych rejonach Polski. Po wielu latach, w 1971 roku wróciłam do Polski ponownie i spędziłam cztery tygodnie, odwiedzając siostry i wielu krewnych. Moja trójka dzieci założyła rodziny i posiada własne dzieci. Większość swojego życia spędziłam w Afryce i na Cyprze, wyspie na którą w 1974 roku Turcja dokonała inwazji, podcinając korzenie naszego dotychczasowego życia, daleko od Polski, gdzie się wychowałam i którą tak bardzo kocham.

Koniec

Wspomnienia związane z budynkiem tłumackiego Sokoła.

Danuta Tabińska - Juhasz

W ostatnich czterech numerach „Zeszytów Tłumackich" z wielką uwagą śledziłam losy organizacji "Sokół" tworzonej na wschodnich terenach Polski, na przełomie XIX i XX w. Ela Niewolska, autorka tych odcinków bardzo wnikliwie starała się przedstawić nam dzieje tłumackiego „Sokoła" na tle historycznym sokolstwa na Kresach Wschodnich. Dlatego pod ostatnim jej odcinkiem słowo "koniec" odebrałam z przykrością. Przecież jeszcze tyle wspomnień mam związanych z budynkiem „Sokoła" tłumackiego. Postanowiłam więc podzielić się z czytelnikami ZT moimi wspomnieniami.

Dziecięce zachwyty „Sokołem".

Do Tłumacza przyjechałam z rodzicami i młodszą siostrą Lalą. Ojciec mój, urzędnik pocztowy długo robił starania o przeniesienie z Dyrekcji w Brześciu nad Bugiem do Dyrekcji Lwowskiej Poczty w Tłumaczu. Powodem przeniesienia był niezdrowy poleski klimat. Mieszkaliśmy w małym miasteczku nad Horyniem, a według opinii lekarza, dzieciom groziła anemia. Drugim powodem była pewnie tęsknota mego ojca do rodzinnego domu w Żywaczowie oddalonym zaledwie 16 km od Tłumacza i pięknych okolic naddniestrzańskich.

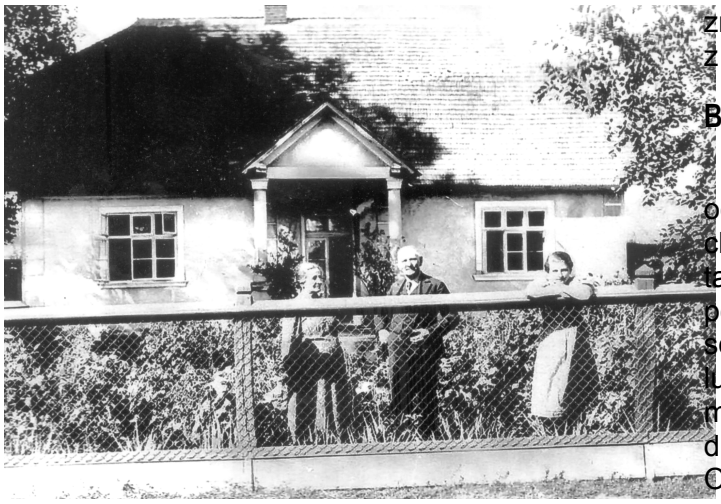

Dom Tabińskich w Żywaczowie.

Tak więc w 1937 roku zamieszkaliśmy przy ul. Słowackiego wynajmując od pani Kociuszkowej parter jej domu. Chodziłam wtedy do 2-giej klasy szkoły powszechnej i musiałam codziennie przechodzić wzdłuż budynku „Sokoła". Widok jego zawsze napawał mnie dumą, że zamieszkałam w mieście gdzie znajduje się taki piękny budynek. Był usytuowany narożnie, dłuższa strona biegła wzdłuż ulicy Słowackiego, a krótsza, z głównym wejściem do starostwa była od strony ul. 3-go Maja. Uroku budynkowi dodawała tzw. droga cygańska, tj. fryz, który biegł jako zakończenie ścian pod dachem wzdłuż całego budynku i wzdłuż wieżyczek. Po zniszczeniach ostatniej wojny już jej nie odbudowano. Budynek „Sokoła" wybudowano pod koniec XIX wieku z cegły rozbiórkowej zlikwidowanej, słynnej cukrowni Dzieduszyckich. Z tej cegły wybudowano również kościół, cerkiew i synagogę. Duży plac w środku miasta, nierówny, zarośnięty po zlikwidowanej cukrowni nazywany był "Hofem" i był terenem zabaw dziecięcych które dotychczas mile wspominam .

W „Sokole" oprócz pokoi biurowych starostwa była duża sala ze sceną i wewnętrznym balkonem. Dzięki niej kwitło życie kulturalne, sportowe i różne inicjatywy społeczne Tłumacza. Raz w tygodniu były wyświetlane filmy. Tu działało amatorskie kółko teatralne. Gościnnie występowały też teatry z innych miast. Odbywały się akademie ku czci różnych rocznic narodowych. Organizowano tzw. nieme obrazy na tle, których recytowano okolicznościowe wiersze, śpiewano patriotyczne pieśni np. ku czci "Orląt Lwowskich" Ja śpiewałam "Mamo najdroższa bądź zdrowa" i "Dzień deszczowy i ponury " oraz wiele innych patriotycznych pieśni.

Popularnością cieszyły się zawsze "Jasełka" grane zazwyczaj z udziałem młodzieży szkolnej. Pamiętam ile radości sprawiały nam występy znanych postaci, jak diabeł z widłami, śmierć z kosą i zły król Herod w koronie.

Bale w Sokole.

W karnawale prawie we wszystkie soboty odbywały się w „Sokole" bale, zazwyczaj charytatywne. Organizowały je różne środowiska, takie jak: „Rodzina Policyjna", nauczyciele, pocztowcy. Organizatorzy rywalizowali między sobą o to, kto więcej zebrał pieniędzy na ochronkę lub dom starców. Pamiętam dokładnie jak moi młodzi, przystojni rodzice lubili się bawić i jakie to dla małych dziewczynek było nie lada przeżycie. Obie z siostrą asystowałyśmy i „pomagałyśmy" mamusi przygotowywać się na bal. Nawet w naszej rodzinie pozostało takie powiedzenie "Cicho dzieci bo mama idzie na bal" .Bardzo interesowały nas toalety i fryzury naszej mamy.

Wanda i Jan Tabińscy na balu w „Sokole" w Tłumaczu. Karnawał 1938r.

Suknie balowe mamy pamiętam do dzisiaj. Były trzy, bo nie wypadało w tej samej pokazać się w ciągu jednego karnawału. Pierwsza suknia była czarna, miała plecy i ramiona jak pająk w paseczki, które schodziły się w puszystych futrzanych rękawach (na zdjęciu). Druga suknia, seledynowa, przetykana srebrną nicią, rozkloszowana i zwiewna. Trzecia suknia szafirowa uszyta z tafty, sztywnej, szeleszczącej z trenem. Miała ręcznie malowany kolorowy wzór. Dwie pierwsze sprzedała mama zaraz w pierwszym roku okupacji sowieckiej, kiedy żyło się tylko z wyprzedaży rzeczy. Suknie były śliczne i bardzo podobały się Rosjankom. Dobrze zapłaciły i pamiętam jak mama z babcią cieszyły się że za każdą suknię mogłyśmy przeżyć po miesiącu. Natomiast najdroższej, najpiękniejszej sukni z tafty nikt nie chciał kupić gdyż szeleszczącej tafty sowietki bały się, myśląc że jest to papier.

Już po zakończeniu wojny wywiozłam ją do Stanisławowa na sławne targowisko „Trynitary" i też nie mogłam jej sprzedać z tego samego powodu. Pamiętam ile razy tę taftę przeklinałam. Dopiero gdy poszłam do stanisławowskiego teatru i trafiłam na artystki z Moskwy, które poznały się nie tylko na tafcie ale i na ręcznym malowaniu sukni. Ich zachwyty i dużo rubli dodały mi siły do organizowania wyjazdu na Ziemie Odzyskane. To była bowiem już ostatnia rzecz do wymiany na żywność do transportu na długą i nieznaną drogę. Tak przez nikogo nie chciana przez całe lata wojny i przez nas przeklinana suknia mamy, teraz uratowała nas przed śmiercią głodową w czasie tej strasznej podróży .

Tu wybiegłam znacznie wprzyszłość. Wróćmy zatem do karnawału tłumackiego, kiedy obie z siostrzyczką czekałyśmy niecierpliwie na powrót nad ranem naszych rodziców z balu. Zawsze przynosili nam kotyliony, baloniki, chińskie parasolki, zwoje serpentyn. Najlepszą naszą zabawą było zbieranie do pudełek po zapałkach konfetti z ich ubrań i wydłubywanie konfetti z ich włosów. Najbardziej lubił to nasz tata, gdy dzieci czesały jego głowę. Nawet był u nas taki rytuał, że przy drzemce po obiedzie można było rozczesywać ojca loczki. Miał do tego mały czarny grzebyczek, o który biłyśmy się z siostrą, a ojciec musiał wyznaczać nam dyżury czesania. Gdy 6.09.1939 roku uciekał do Rumunii nie mógł zabrać żadnych dokumentów ani żadnych zdjęć, żeby rodziny nie narażać w przypadku gdyby nie udało mu się przekroczyć granicy. Zabrał tylko ten właśnie grzebyczek, jako jedyną pamiątkę po jego dziewczynkach. Towarzyszył mu przez cała wojnę, a gdy po 6-ciu latach pokazał nam go po powrocie, jako jego najcenniejszy talizman to wszyscy byliśmy bardzo wzruszeni .

Bal dziecięcy w Sokole.

Mam też własne wspomnienia z balu dziecięcego w „Sokole". Był zorganizowany z wielkim przepychem i rozmachem przez nauczycieli Szkoły Powszechnej w Tłumaczu i Koło Rodzicielskie. Odbył się w ostatnim przedwojennym karnawale 1939 roku. Pewnie dlatego żeby w czasie okrutnej wojny miały dzieci co wspominać z rodzinnego Tłumacza, a szczególnie te wywiezione na Sybir i w bezkresne stepy Kazachstanu.

Bal ten zapadł w mej pamięci na zawsze, bo przyczynił się do pierwszej mojej dziecięcej „tragedii" jaką wtedy przeżywałam. Wszystkich obowiązywały stroje balowe.

Na balu w „Sokole". W pierwszym rzędzie stoją, od lewej: Lola Zubrzycka, Mirosława Tabińska, Hrapkowiczówna, Zofia Kalatówna, Władysława Olejnicka, Janusz Wiszniewski, Zbiniew Jeżowski, Lidia Dołhańczuk, Maryla Grabowiecka.

Dziewczynki wystąpiły w atłasowych krynolinach, białych perukach z wachlarzami, zadzierały przy tym nosy i patrzyły z pogardą na moją krótką, bordową sukieneczkę. Byłam przez to bardzo nieszczęśliwa, połykałam łzy stojąc w kącie jak Kopciuszek. Jednak, jak w znanej bajce pojawił się królewicz, którym był Zbyszek Jeżowski przebrany za szlachcica, w pięknym polskim kontuszu. Szarmancko skłonił się i poprosił mnie do inauguracyjnego tańca. Rozradował moją duszę i poprawił samopoczucie na resztę wieczoru, a wdzięczność i pamięć zostawił na całe życie. Miałam wtedy niecałe 10 lat, a „tragedią" była moja krótka sukienka, która nie pozwalała mi zatańczyć francuskiego lansjera, poloneza ani stanąć do grupowego zdjęcia. Fakt , że przystojny Zbyszek, obiekt westchnień wszystkich małolatek wybrał właśnie mnie, w krótkiej, zwykłej sukieneczce, a nie piękności w krynolinach, w perukach z wachlarzami, złagodził całą moją dziecięcą rozpacz. Nie miałam nigdy okazji żeby mu powiedzieć co dla mnie wtedy zrobił, ale całe życie to pamiętałam. Potem wybuchła wojna, jego ojca aresztowali (był starostą Tłumacza) a całą rodzinę wywieźli na Sybir. Żałuję, że nie było mi dane spotkać się po wojnie i o tym porozmawiać.

Pozostał mi jedynie w pamięci młody szlachcic w pięknym polskim kontuszu, Wspominam go zawsze gdy widzę w telewizji śpiewającą jego córkę Majkę Jeżowską, która odziedziczyła piękny głos po swoim ojcu Zbyszku Jeżowskim z Tłumacza.

Tłumacz 1941. Budynek „Sokoła" z charakterystycznymi ozdobami, zwanymi potocznie – „drogą cygańską".

Bociani przystanek na Sokole.

W Tłumaczu miało miejsce ciekawe ornitologiczne zjawisko. Dziś już nie pamiętam czy bociany odlatywały jesienią 1938 roku, czy może wiosną 1939 roku przylatywały do nas, w każdym razie już zaczęło się mówić o zbliżającej się wojnie. Gdy pewnego dnia setki bocianów obsiadło budynek „Sokoła", był to niesamowity widok. Tłoczyły się one na każdym słupku tzw. "drogi cygańskiej" na dachu i kominach „Sokoła". Nie płoszył ich coraz większy tłum ludzi obserwujący je z dołu. Moja mama przyszła po nas do domu i zabrała, aby pokazać to zjawisko. Długo i ciekawie patrzyłyśmy jak boćki odpoczywają na dachu „Sokoła". Przeciągały sobie skrzydła i nogi, i wcale nie bały się ludzi. Odpoczynek ten trwał bardzo długo, parę godzin, gdy nagle wszystkie razem zerwały się do odlotu. Zaszumiało, pociemniało wokół i bociany opuściły nasz „Sokół", nasz Tłumacz. Z tego zjawiska wróżono nadchodzącą wojnę, której, jak się później okazało towarzyszyć będzie przemieszczanie się ludzi, aż do zupełnej wymiany mieszkańców Tłumacza. Przepowiednie spełniły się w całości. Przybyło dużo rosyjskich rodzin, wywożono Polaków na Sybir, aresztowano i ludzie też gremialnie uciekali. Za niemieckiej okupacji zlikwidowano jedną trzecią mieszkańców Tłumacza - Żydów, a po wojnie wyjechali wszyscy Polacy. Za rządów komunistycznych aresztowano i wywożono też dużo mieszkańców ukraińskich. Rdzennych przedwojennych mieszkańców Tłumacza pozostało po wojnie naprawdę niewielu. Tak bociany z Sokoła wywróżyły Tłumaczanom rozproszenie się po szerokim świecie.

Jak z dachu Sokoła chciano powstrzymać II wojnę światową.

Powszechna mobilizacja w końcu lata 1939 roku objęła również uczniów Gimnazjum Tłumackiego, zorganizowanych w Przysposobieniu Wojskowym. Na dachu Sokoła utworzono punkt obserwacyjny, gdzie dyżury pełnili uzbrojeni gimnazjaliści już od 1.09.1939 roku. Komendantem ich był kierownik Szkoły Powszechnej por. Michał Dębiec. W dniu 17.09.1939.roku nastąpił 4-ty rozbiór Polski. Armia Czerwona bez wypowiedzenia wojny przekroczyła od wschodu granice naszego państwa i szła bez jednego wystrzału w głąb kraju. O północy z 19 na 20 września zaczęli wkraczać do miasta od strony Horodenki. Z punktu obserwacyjnego na „Sokole" padły strzały w obronie Tłumacza. Ponieważ w parku zatrzymał się na nocleg oddział żołnierzy polskich w drodze na granicę rumuńską, wywiązała się całonocna strzelanina. Byli ranni wśród żołnierzy rosyjskich i polskich, i dużo zabitych koni. Oficer dowodzący polskim oddziałem przed poddaniem się i złożeniem broni zastrzelił się w parku. Pozostałych żołnierzy wzięto do niewoli i poprowadzono na Horyhlady. Mój ojciec Jan Tabiński pełnił właśnie nocny dyżur na poczcie. Podczas strzelaniny do ostatniej chwili łączył rozmowy wojskowe, informował o zdobywaniu Tłumacza leżąc pod dyżurką telefoniczną. Rano przyprowadzono naczelnika poczty p. Moszoro i razem z nim musieli zdać Pocztę Polską władzy sowieckiej. Tą noc pamiętam bardzo dobrze, gdyż było to moje pierwsze zetknięcie się z wojną. Pamiętam ten przemożny strach o życie ojca, który był w centrum strzelaniny. Również bałam się o moją dzielną mamę, która zaraz nad ranem przekradała się do męża przez Hof, od tyłu poczty. Ojciec miał tylko liczne zadrapania od odłamków szkła. Wrócił cało do domu ale zaraz zaczął się ukrywać, aż do swojej ucieczki do Rumunii tj. do dnia 6.11.1939r. (święto rewolucji październikowej).

Tymczasem z punktu obserwacyjnego na „Sokole" gimnazjaliści PW zdążyli pouciekać. Zaraz zaczęły się aresztowania. Jednym z pierwszych był por. Michał Dębiec, następnie szli starosta Jan Jeżowski, burmistrz Leon Seidler, policjanci - Franciszek Białkowski, Johnson, Jakub Panachida i dużo jeszcze znaczniejszych obywateli Tłumacza. Wszyscy oni byli naprzód zamknięci w piwnicach „Sokoła", a następnie wywiezieni do Stanisławowa, żeby ostatecznie zginąć w Katyniu. Dziwi fakt, że wszyscy do aresztowań byli na miejscu – nie opuścili Tłumacza. Czy to przejaw patriotycznego

wychowania, które kazało wytrwać do końca na swoim stanowisku, lub jak por. Michał Dębiec nie skorzystał z możliwości ucieczki z transportu gdyż honor oficerski mu na to nie pozwolił, o czym rodzina dowiedziała się już po wojnie. Zginął w Katyniu powiększając grono bohaterskich Obywateli Tłumacza. Potem rodziny aresztowanych jako „wrogów ludu" wywożono w strasznych warunkach na Sybir. Dotychczas nie wiemy, który z patriotycznych gimnazjalistów PW oddał pierwsze strzały z budynku „Sokoła" do wkraczającej do Tłumacza Armii Czerwonej, a szkoda, bo wydarzenie to powinno przejść do historii obrony polskich Kresów Wschodnich, w czasie II Wojny Światowej. Piękny budynek naszego „Sokoła" od tego dnia tj. 20.09.1939r. służył kolejnym władzom okupacyjnym. Po wojnie budynek „Sokoła" został odnowiony, a pod koniec jat 90-tych XX w naprzeciw stanęła cerkiew. Odmalowano go w pastelowych kolorach i dalej jest ozdobą architektoniczną miasta Tłumacza .

Moja wizyta w Nadorożnej

Janina Sokołowska Kubica

Wieś Nadorożna położona jest w odległości ok. 4 kilometrów od Tłumacza, za polami byłej mieszkanki Tłumacza, pani Dolaisowej, przy drodze prowadzącej od skrzyżowania ul. Słowackiego i 3 Maja, w kierunku ul. Kolejowej. W Nadorożnej urodził się mój ojciec Władysław Sokołowski. Spędziłam tam najpiękniejsze chwile mojego życia - dzieciństwo i młodość wśród bliskich mi osób, członków rodziny Ojca - rodziny Zagórskich. Moja babcia Julia, po śmierci dziadka wyszła za mąż za wdowca Zagórskiego, a jego dwóch synów ożeniło się z siostrami ojca. W Nadorożnej nie było małżeństw mieszanych polsko - ukraińskich. Polacy żenili się między sobą, byli ze sobą spokrewnieni i tworzyli jedną rodzinę. Każdego roku, od najmłodszych lat latem, w czasie wakacji, tata zawoził mnie i mojego brata Zbyszka do Nadorożnej, gdzie spędzałam najpiękniejsze w życiu wakacje. Babcia i ciocie mieszkały na początku wsi, obok starego cmentarza, na którym bawiliśmy się całymi dniami, chociaż babcia ciągle nas za to karciła. Nie tylko wakacje były okazją do rodzinnych spotkań, ale także wszystkie święta, gdy zjeżdżaliśmy się wszyscy w Nadorożnej. Rodzina była duża, więc wszystkie święta spędzaliśmy bardzo rodzinnie, przyjemnie i wesoło. Boże Narodzenie było świętem najpiękniejszym i obchodzonym wg starej tradycji. W największej izbie, na środku stał duży stół nakryty białym, lnianym obrusem, pod którym obowiązkowo musiało być siano. W rogu, przy oknie stała choinka przybrana łańcuchami i cukierkami własnej roboty, zawiniętymi kolorowymi bibułkami, a po przeciwnej stronie stał snop pszenicy, ozdobiony jabłkami rajskimi, gruszkami i orzechami z własnego sadu. Podłoga także obsypana była lekko sianem, więc uciechy mieliśmy co niemiara. W kącie pod piecem siedział zawsze dziadek i kręcił mak w makutrze, podkręcał od czasu do czasu wąsa i śpiewał po cichu kolędy.

Gdy pokazała się pierwsza gwiazdka, schodziła się cała rodzina, robiło się gwarno i wesoło. Ciocie szykowały i układały na stole wigilijne potrawy, a było ich aż dwanaście. Nie wiem dlaczego, ale kutia podawana była zawsze na początku kolacji. Za oknami ukazywała się oświetlona gwiazda betlejemska i kolędnicy śpiewali „Bóg się rodzi". Proszono ich później do mieszkania i częstowano wypiekami i kutią, a mój tatuś dawał im zawsze drobniaki. Radości było wtedy wiele. Ok. godziny 24.00 dziadek zabierał mnie do stajni i obory, do bydła i koni, aby je nakarmić. Mówił mi wtedy, że w noc wigilijną zwierzęta mówią ludzkim głosem. Niestety, ja nigdy ich nie słyszałam. Po kolacji i nakarmieniu zwierząt wyjeżdżaliśmy saniami do Tłumacza na pasterkę. Było to dla mnie wielkie przeżycie. Zimy w tamtym regionie były bardzo często srogie – mroźne i śnieżne. Przejeżdżając obok lasu zawsze poganialiśmy konie, aby szybciej wydostać się na otwartą przestrzeń, ponieważ w lesie bywały wilki. Mój ojciec zawsze denerwował się kiedy przejeżdżaliśmy przez las i ubolewał, że w Nadorożnej nie ma kościółka ani kaplicy.

Kościółek w Nadorożnej. 2007 rok.

Pewnego razu stał się cud, jak mawiał tata. Dostał z Kanady duży spadek po śmierci brata matki i wtedy to część pieniędzy ze spadku przeznaczył na budowę kościoła w Nadorożnej.

W 1938 roku został zbudowany na starym

cmentarzu, tuż przy wjeździe do Nadorożnej, piękny kościółek z czerwonej cegły. Ostatni raz, przed wojną, w kościółku tym byłam w 1939r., w lipcu. Razem z Ojcem umieściliśmy tam 12 obrazów przedstawiających „Drogę krzyżową", a na wieży zawiesiliśmy dzwon. Pamiętam, że ojciec powiedział do mnie wtedy: *„Od tego roku będziemy już Pasterkę świętować w naszej rodzinnej wsi".* Niestety słowa ojca się nie sprawdziły! Wybuchła wojna!

Janeczka przed domem Szury, w którym mieszkała w Tłumaczu, po 67 latach. Mieszkali tam również: sędzia Drohomirecki, pani Hirszmilerowa, Irena Pełech.

Mojego ojca Rosjanie aresztowali, wywieźli do Ostaszkowa i zamordowali. Mnie, mamę i brata wywieźli na Sybir, a wszystkich mężczyzn Zagórskich wymordowali Ukraińcy. Całe życie marzyłam, aby jeszcze raz pojechać do Tłumacza, gdzie mieszkałam i chodziłam do szkoły, a także odwiedzić Nadorożną. I udało się! Kolega syna, który odwiedzał Lwów, zabrał mnie ze sobą. Po 67 latach byłam w Tłumaczu 3 dni. Niestety nikogo ze znajomych już nie spotkałam. Było mi bardzo smutno. Miasto było ciche, jak wymarłe, ulice puste, a był to sierpień. W czasie wędrówki po Tłumaczu, zatrzymałam się nad stawem, usiadłam na brzegu i zapłakałam. Wokół stawu było trochę ludzi, ale wszyscy byli obcy. Nie znałam już nikogo. Podszedł do mnie wtedy mój towarzysz podróży i zaproponował abyśmy pojechali do Nadorożnej. Jechaliśmy piękną, bitą drogą, wysadzaną drzewami i za pół godziny byliśmy na miejscu. Najpierw zobaczyłam stary cmentarz i kościółek z czerwonej cegły. Krzyknęłam, że to tu! Wysiadajmy! Długo spacerowałam wokół kościółka i cmentarza, dziś już wyrównanego i zarośniętego trawą. Kościółek trochę przerobiono, ale front z cegły pozostał bez zmian, rozbite były witraże i brakowało dzwonu. Do wnętrza nie mogłam się dostać, ponieważ kościół był zamknięty na wielką kłódkę. Po niedługim czasie zjawił się sołtys zaintrygowany naszym przybyciem. Po rozmowie ze mną przyniósł klucz i wprowadził nas do środka. Mury trzymają się nieźle ale wnętrze zdewastowano. Za czasów sowieckich był tam klub młodzieżowy. Sołtys powiedział mi, że niedługo kościołek będzie odremontowany i powstanie w nim cerkiew.

W trakcie zwiedzania kościółka i okolic zauważyłam, że przygląda mi się starsza kobieta z laską. Podeszłam do niej i zapytałam dlaczego za mną chodzi i mi się przygląda? A ona na to odparła*: „Ty jesteś Jancia! Pamiętam ciebie, jak przyjeżdżałaś na rowerze do Nadorożnej razem z bratem Zbyszkiem, na wakacje. Pamiętam również twoją mamę Paulinę i ojca Władka".* Bardzo byłam zaskoczona, że po tylu latach mnie rozpoznała i pamiętała imiona rodziców i brata. Ja nie pamiętałam jej wcale. Okazało się, że z domu nazywa się Smulska i jest jedyną Polką, która pozostała w Nadorożnej, ponieważ wyszła za mąż za Ukraińca. Ostrzegła mnie, żebym nie mówiła kim jestem i ze żyli tutaj moi krewni Zagórscy, ponieważ ci co ich zamordowali jeszcze żyją. Proponowano mi, abym została w Nadorożnej kilka dni, ale bałam się zostać i jak najprędzej wyjechałam do Tłumacza, a później do Stanisławowa.

Koniec

Wspomnienie z Tłumacza - część II

Krystyna z Osieckich Duniec

W pierwszej części „Wspomnień" opisałam kilka zdarzeń, które przeżyłam wraz z rodziną podczas okupacji niemieckiej. W drugiej części moich wspomnień chcę opisać moje dalsze przeżycia związane z pobytem Niemców w Tłumaczu.

Na wstępie poświęcę parę słów moim koleżankom - Żydówkom. Zapamiętałam ich dwie: Betkę i Cylkę. Betka była trochę ode mnie starsza, miała piękne, długie, grube warkocze i mieszkała z rodzicami i bratem niedaleko ulicy Słowackiego, więc często odwiedzałyśmy się wzajemnie. Ojciec jej był właścicielem garbarni skór w Tyśmienicy. Cylka była młodszą ode mnie dziewczynką o typowo semickich rysach twarzy i kruczoczarnych włosach, a mieszkała niedaleko dziadków Ostropolskich. Niestety nie pamiętam jej nazwiska. Pewnego dnia, była to sobota, poszłam się z nią pobawić. Weszłam do jej mieszkania, w którym czyniono przygotowania do szabasu. Dziadek Cylki ubrany był w czarno-biały płaszcz i modlił się w kącie pokoju. Babcia i ciotka siedziały przy stole i także

się modliły, trzymając ręce nad zaświeconymi świecami. Mama w kuchni gotowała gałeczki z ryby i układała je na talerzu. Zapach był taki apetyczny, że namówiłam Cylkę, aby przyniosła parę tych gałeczek do skosztowania. Czekałam na nią pod schodami, gdzie miałyśmy swoją "siedzibę". Cylka przyniosła od razu cały, duży talerz pysznych gałeczek więc obie szybko uwinęłyśmy się z tą pychotą. Do dzisiaj czuję zapach i smak tej potrawy i pomimo licznych prób nie udało mi się przyrządzić ryby w taki sposób. Gdy zjadłyśmy wszystko, usłyszałyśmy krzyki i wołanie jej mamy... Skończyło się na rozmowie naszych dziadków, z których każdy wychwalał swoją wnuczkę, myśląc, że tego nie słyszymy. "Oficjalnie" dostałyśmy obie burę za to, że bez pytania wzięłyśmy potrawę koszerną, przeznaczoną na szabas.

Gdy wspominam sąsiedzkie życie Polaków, Żydów i Ukraińców w Tłumaczu jestem wdzięczna moim rodzicom i dziadkom, że pozwalali mi na zabawy z dziećmi sąsiadów, również innej narodowości. Kontakty te już od dzieciństwa uczyły tolerancji, wzajemnego szacunku dla różnych narodowości, religii i tradycji. Efektem tego wielonarodowego współżycia było to, że mając 11 lat posługiwałam się z łatwością zarówno językiem polskim, jak i ukraińskim, który do dzisiaj dobrze rozumiem ale niestety mówić już po ukraińsku nie potrafię.

Ten unormowany, szczęśliwy świat runął w momencie, gdy wybuchła wojna, a Tłumacz znalazł się najpierw pod okupacją sowiecką, a później niemiecką. Nikt nie mógł nawet w najgorszych koszmarach wyobrazić sobie co nas wszystkich czeka w najbliższym czasie. Nigdy nie zapomnę tej nocy (akurat spałam u dziadków), a właściwie wczesnego ranka, gdy do drzwi mieszkania dziadków zaczął dobijać się Niemiec z psem wilczurem i dwóch Ukraińców, naszych sąsiadów. Przy wrzaskach i pogróżkach kazali dziadkowi się ubrać, a następnie zabrali go ze sobą, jak twierdzili - "na przesłuchanie". Babcia, po ich wyjściu zebrała na stole wszystkie zdjęcia i listy oraz dokumenty, jakie dziadek przechowywał, dotyczące działalności jego i innych członków "Sokoła". Podarła je i spaliła. Rano dowiedzieliśmy się, że aresztowanych zostało wielu naszych sąsiadów - Polaków. Przetrzymywali ich około dwóch tygodni. W tym czasie, jak się później okazało, brali dziadka na "rozmowy" i namawiali aby podpisał volkslistę, czyli jak dziadek określił "podpisał cyrograf z diabłem". Matka dziadka nazywała się z domu Antonina Rosler. To był ich "koronny argument" w przekonywaniu dziadka, aby podpisał volkslistę. Dziadek odpowiadał, że nazywa się Ostropolski i jak niezbicie wskazuje nazwisko i przekonania, jest i pozostanie Polakiem. Po paru dniach przenieśli dziadka do innej części więzienia, w której przetrzymywani byli niepokorni Polacy, a w celach roiło się od wszy, z którymi więźniowie nie mogli dać sobie rady.

W tym samym czasie babcia z mamą robiły paczki z jedzeniem i już od rana stały pod więzieniem aby dostarczyć jedzenie dziadkowi. Trzeba było czekać na dobry humor strażnika - Ukraińca, aby zechciał dostarczyć paczkę. Strażnikami byli przeważnie znajomi, często sąsiedzi, którzy namawiali, aby babcia skłoniła dziadka do podpisania volkslisty. Obiecywali przywileje, a przede wszystkim bezpieczeństwo i przynależność do narodu "nadludzi", z możliwością robienia zakupów w sklepie "Nur fur Deutsche" włącznie. Po około dwóch tygodniach wypuścili dziadka do domu. Pamiętam, jak wszedł na podwórko, a my wszyscy rzuciliśmy się, aby go przywitać. On odsunął nas, wszedł do komórki, poprosił o dużo ciepłej wody i czyste ubranie. Ojciec mój ogolił go i ostrzygł do gołej skóry i dopiero po tych zabiegach higienicznych zaczął się z nami witać.

Po pewnym czasie Polacy, którzy byli więzieni z dziadkiem, zaczęli kolejno chorować na tyfus plamisty. Staraliśmy się nie myśleć, że dziadek również mógłby zachorować. Niestety! Stało się! Naszą rodzinę również dosięgło nieszczęście! Była wojna, nie było lekarstw, szpital wprawdzie był czynny, ale lekarz Polak nie mógł dysponować lekarstwami, ani sprzętem. To było zarezerwowane dla rannych "nadludzi" przywożonych z frontu. Dziadek zmarł tak, jak wszyscy więzieni Polacy na tyfus plamisty. Nie było dla nich ratunku! Prawdopodobnie wszyscy zostali specjalnie zarażeni tyfusem przez wszy hodowane w niemieckich laboratoriach w celu likwidacji "niepokornych". Dziadek miał 68 lat. Pochowany został na cmentarzu w Tłumaczu i tam spoczywa do dzisiaj. Podczas choroby dziadka aresztowano także ciocię Bronisławę. Natomiast ciocia Janina z Ostropolskich Kulińska mieszkała i pracowała w charakterze nauczycielki w Piadykach koło Kołomyji. Do niej wyjechała ciocia Jadwiga. Przekazała jej polecenie babci, aby nie ważyła się przyjeżdżać do Tłumacza, gdyż aresztowania w Tłumaczu były codziennie. Ciocia Jadwiga została w Piadykach i to uchroniło ją od aresztowania i losu podobnego do przeżyć cioci Bronisławy.

W trakcie prześladowań na Polakach Niemcy zaczęli pogrom Żydów. Wydzielona została część miasta w śródmieściu na getto. Jako dziecko nie zdawałam sobie sprawy do końca dlaczego i za co Niemcy wyrzucają Żydów z domów i prowadzą środkiem drogi otoczonych SS-manami i psami - wilczurami. Zobaczyłam, jak prowadzili moją koleżankę Betkę, jej rodziców

i małego braciszka. Był to przerażający widok. Stałam wtedy przy furtce naszego domu, patrzyłam na ten przerażający spektakl i do dzisiaj ten obraz mam przed oczami. Nie wiem co stało się z Cylką i jej rodziną. Wiem tylko, że zabrani zostali do getta.

Jeszcze jedno zdarzenie utkwiło mi w pamięci. Wyszłam do sadu pobawić się z Tadziem Wierzbickim. Mama Tadzia była na dworze i powiedziała, że Tadzio śpi w domu, a sama gdzieś się spieszy. Zaintrygowało to mnie to! Zaczęła iść przez sad na tzw. pole, a ja chyłkiem udałam się za nią. Okazało się, że na polu było już sporo ludzi i wszyscy patrzyli w kierunku Łokutek, gdzie na wzniesieniu widoczny był cmentarz żydowski. SS-mani przyprowadzili gromadę mężczyzn - Żydów i kazali im kopać duży dół. Gdy dół był już wykopany, Niemcy ustawili Żydów na jego krawędzi i strzałem w tył głowy, po kolei, pozbawiali ich życia. Do zgromadzonych na polach ludzi docierały odgłosy strasznych krzyków i strzałów. Wszyscy bezradnie patrzyli na jawny mord niewinnych ludzi w biały dzień. Było to straszliwe przeżycie dla wszystkich ludzi, a szczególnie dla dziecka. W tym strasznym miejscu znalazła mnie babcia. Strasznie się bałam, płakałam, przytuliłam się do babci. W tym samym momencie obok nas znalazła się Ukrainka Nastka. Nastka była samotną matką, której babcia często pomagała. Stojąc obok nas ta „biedna" Nastka powiedziała łamaną polszczyzną: *„O! Pani Ostropolska! W życiu to są takie „drabynkie", raz w horu, a raz w dołynu. Polaki teper w dołyni. Bude to samo z wame, szczo teper z Żydame"* Babcia bez słowa wzięła mnie za rękę i poszłyśmy do domu. Tam dopiero mogłyśmy się wypłakać do woli.

Podczas tych tragicznych wydarzeń z Żydami, w okolicznych wioskach zaczęła się rzeź Polaków przez ukraińskich nacjonalistów. Wieczorami widać było łuny pożarów od strony wiosek, gdzie Ukrainiec sąsiad mordował Polaka sąsiada i nawet wśród najbliższej mieszanej polsko ukraińskiej rodziny nie było litości. Polacy w Tłumaczu jednoczyli się w czujności, aby nie być zaskoczonymi przez bandy rozjuszonych nienawiścią zbirów. Kolejno pełnili warty na strychach i dachach swych domów, szczególnie nad ranem. W czasie jednej z takich wart nocnych mój ojciec będąc na dachu, zauważył dziwny ruch na podwórku u sąsiadów Żydów, których Niemcy nie zdążyli jeszcze zabrać do getta. Pakowali się, żegnali z nami i nie czekali biernie na los przeznaczony im przez Niemców.

Tuż przy naszym wspólnym płocie był śmietnik. W tym śmietniku Żydzi zaczęli kopać dół. Do tego dołu cała rodzina zaczęła znosić paczki, walizki, toboły. Po jakimś czasie zasypali to wszystko, śmieciami. Przed bramą domu czekała na nich furmanka, wszyscy wsiedli i wyjechali. Z opisywanym wydarzeniem kojarzą mi się dwa nazwiska - Zekler i Steinwurzel.

Mój ojciec nikomu nie powiedział o tym wydarzeniu, nawet mamie. Dopiero w 1945r, gdy zjawili się niespodziewanie przyznał, że wszystko widział z dachu. Ci Żydzi cudem przeżyli koszmar niemieckiej czystki, przyjechali do Tłumacza i od razu zaczęli odkopywać skrytkę. Jakie było ich zdziwienie, gdy wszystko zastali w idealnym stanie. Chcieli koniecznie wynagrodzić mojego ojca, lecz ojciec odmówił wszelkiej nagrody. Jestem z Jego postawy niezmiernie dumna!

Były to dla Polaków straszne czasy, w których największym osiągnięciem było przeżyć, chociażby do jutra. Ukraińcy zaczęli rabunek domów i mieszkań Żydów zabranych do getta i tych których od razu rozstrzeliwano. Niemcy udawali, że nic się nie dzieje, gdyż sami często uczestniczyli w rozbojach. Polacy byli atakowani na zmianę przez Sowietów, Niemców, jak również Ukraińców - sąsiadów.

Moja rodzina miała jeszcze dodatkowo, we własnym mieszkaniu utrudnienie codziennego życia. W czasie okupacji sowieckiej mieszkaliśmy pod jednym dachem z tow. Kolesowem (pierwsza okupacja), a potem z tow. Dewiatym i Szitikowem. O Józi Ukrainee, służącej u tow. Szitikowa nie wspomnę. Kto sam nie przeżył takiej "cenzury", temu trudno będzie zrozumieć co to może znaczyć. Byliśmy "sobą" jedynie w kościele oraz w domu dziadków, gdzie nie trzeba było uważać na każde słowo i na każdy gest, który mógłby wykorzystać wróg. Jedyna broń, którą można było wówczas stosować to było przysłowie: "mowa jest srebrem a milczenie złotem".

Jeśli chodzi o Ukraińców, to należy przyznać, że nie wszyscy zachowywali się z wrogością. Moi rodzice zanim kupili dom wTłumaczu od pani Wenzlowej, w kwietniu 1939r., mieszkali u Ukraińca w Tyśmienicy. Nazywał się Kryweńczuk i dobrze wiedział gdzie moi rodzice dokonali przeprowadzki. Podczas aresztowań nauczycieli Polaków w Tyśmienicy nie wydał nas Sowietom ani Niemcom, chociaż na pewno go pytali gdzie są ci nauczyciele, którzy u niego mieszkali. Nie wydali nas również Ukraińcy, których furmanki przewiozły nasze rzeczy z Tyśmienicy do Tłumacza. Zakup domu w Tłumaczu uratował nam prawdopodobnie życie.

Jeszcze jedno wydarzenie utkwiło mi w pamięci. U dziadków Ostropolskich, za sadem, był dość duży kawałek pola. Sadzone tam były ziemniaki, kukurydza, fasola, siano mak, słoneczniki i konopie. Nazbierało się dużo nasion konopi i maku z czego można było mieć olej, ale

do tłoczni trzeba było iść daleko za Tłumacz. Chyba było to w Łokutkach. Właścicielem tłoczni był Ukrainiec. Moja mama po kryjomu przed ojcem ubrała mnie, zabrała woreczki z makiem i konopnym ziarnem i poszłyśmy same wczesnym rankiem do tej tłoczni. Ukrainiec gdy nas zobaczył, kazał nam wejść do stodoły i schować się w kącie. Sam wziął nasze ziarno i poszedł zrobić olej. Kolejka do przyrządzania oleju była ogromna. Nie wiadomo czy do wieczora byłybyśmy gotowe. Okazało się, że ten Ukrainiec zna moich rodziców, którzy jego dzieci uczyli w szkole. Gdy olej był gotowy, wlał do baniek na mleko i powiedział: *"Pani Osiecka, czeka na was furmanka, siadajcie na wóz, okryjcie się tymi płachtami i jedźcie szybko do domu."* Tym sposobem prawdopodobnie uratował nam życie. Powrót wieczorem do domu był bardzo niebezpieczny. W tym czasie ojciec i babcia odchodzili od zmysłów z trwogi, bo były to bowiem czasy największych mordów ukraińskich. Mama natomiast cieszyła się, że mamy olej. Taka ta moja mama była dzielna i odważna.

Niemcy zajmując Tłumacz zarządzili, że trzeba oddać radia oraz wszelką broń. Za niewykonanie tego polecenia można było trafić do więzienia lub być od razu rozstrzelanym. My oczywiście mieliśmy radio (o „wszelkiej broni" nie wspomnę), które słuchaliśmy po kryjomu w piwnicy u dziadków. Z czasem pojawiły się zakłócenia, nic nie można było zrozumieć, więc mama pomyślała żeby wykorzystać to radio w inny sposób. Jak już wspomniałam, otwarty został w Tłumaczu sklep "Nur fur Deutsche". Sprzedawczynią w tym sklepie była Polka, znajoma mojej mamy, wówczas volksdeutschka. Mama umówiła się z nią, że zamieni radio na różne produkty, takie jak: masło, cukier, biała mąka, itp. Gdy sprawa była już omówiona, należało zastanowić się, jak przenieść radio do jej domu. Również i tym razem moja mama dała sobie radę. Do naszego domu przychodziła Ukrainka, która pomagała mamie i babci gdy trzeba było wykonywać cięższe prace (pranie, prasowanie itp.) Mama nazbierała dużo suchych patyków tzw. chrustu, który wówczas służył do palenia w piecu. Tymi patykami "otoczyła" pudło radia tak, że wyglądało jakby ktoś niósł dużą wiązkę chrustu na opał. Kazała tej Ukraince, która ubierała się w strój regionalny i dlatego nie powinna była wzbudzać podejrzeń, zanieść wiązkę chrustu do mieszkania volksdeutschki. Ona bez sprzeciwu i zbędnych pytań owinęła chrust płachtą, zarzuciła sobie na plecy i poszła. W biały dzień, środkiem drogi, mijając policję niemiecką i ukraińską, szły obie przez miasto. Polka 3 kroki przed Ukrainką, która nie miała pojęcia co niesie. Ryzyko było ogromne ale udało się.

W czasie wojny, gdy ludzie umierali również z głodu, nasza rodzina miała wystarczającą ilość żywności. Z pola i ogrodu była kukurydza, fasola, ziemniaki, mak i konopie na olej. Były swoje jarzyny i owoce. Aby mieć mleko dla dziecka (czyli dla mnie), moja mama kolejny raz wpadła na pomysł. Zamieniła ślubne ubranie mego ojca na... kozę. Pieniądze w owym czasie nie miały zbytniej wartości, gdyż nie było sklepów gdzie można by dokonać zakupów i stosowany był powszechnie tzw. handel wymienny. Trafiła w tzw."10-tkę". Okazało się bowiem, że w sezonie, czyli prawie przez 7 miesięcy, mieliśmy po 4-5 litrów mleka dziennie. Z tego mleka był robiony ser, masło i to co było potrzebne od śniadania do kolacji. Było to jedzenie niezwykle cenne, pozwalało na przeżycie.

Na początku 1942r pojawił się w naszym domu Niemiec! Stwierdził, że musimy opuścić cały dom, gdyż wprowadza się tutaj z rodziną. Przy porządkowaniu świadectw szkolnych moich rodziców natrafiłam na autentyczne dokumenty. Stanowią one niezbity dowód na to, że faktycznie w 1942r Niemiec o nazwisku Mischel, wysiedlił nas z naszego domu w Tłumaczu przy ul. Słowackiego 9. Zamieszkaliśmy u dziadków Ostropolskich w Tłumaczu, przy ul. Słowackiego 30. Niemiec ze swoją rodziną zajął nasz dom, podwórze, komórki, sad, ale płacić podatku nie myślał. O płaceniu czynszu nie wspomnę. W związku z tym faktem ojciec mój napisał podanie do "Stadtverwoltung" w Tłumaczu o uregulowanie tego problemu. Dnia 24.V.1943r otrzymał odpowiedź negatywną. Argumentem odmowy był podany fakt, że dom zajmowany przez Niemca nie został znacjonalizowany, a więc właściciele czyli moi rodzice obowiązani są dalej płacić podatek. Pod tą wykrętną odpowiedzią podpisał się Ukrainiec Twerdochlib pełniący funkcję "der Burgermeister". Było to jawne bezprawie. Wniosek zatem był taki, że Niemiec miał rację bo ją mieć musiał. W trakcie naszej wyprowadzki Niemiec zaczął rozmowę z moim ojcem. Zorientował się iż ojciec zna dobrze język niemiecki i zapytał ojca czy umiałby poprowadzić księgowość w przejętych przez Niemców majątkach ziemskich? Za tę pracę otrzymywałby zapłatę w tzw. naturze. Praca byłaby od zaraz, ale podczas pełnienia obowiązków musiałby zdać egzamin kwalifikacyjny w Krakowie. Ojciec mój zgodził się, pomimo sprzeciwów ze strony mamy. Praca ta miała wiele minusów. Oficjalnie podejmował się pracy u wrogów, pracować miał daleko od Tłumacza, od rodziny, a każda chwila spędzona razem była wtedy bezcenna, przyjeżdżać do domu mógłby co 2 tygodnie, a przejazd tam i z powrotem odbywałby się przez wsie pełne ukraińskich rezunów.

Jednakże na owe czasy praca ta była jakby "gwarancją przetrwania" dla całej rodziny. To był argument, który zadecydował, że ojciec wyraził zgodę.

W tym czasie nasza rodzina była szczególnie prześladowana. Na moich rodzicach wywierano presję aby podpisali volkslistę. Nie przestano nacisków aby i babcia również ją podpisała. Dnia 9.07.1942r ojciec mój zdał w Krakowie egzamin, który dawał mu uprawnienia do pełnienia funkcji księgowego w zajętych przez Niemców majątkach min. w majątku hrabiny Dzieduszyckiej. Pewnego dnia, podczas nieobecności ojca, który pracował w majątku hr. Dzieduszyckiej, na podwórko dziadków Ostropolskich zajechała furmanka. Na wozie siedziały dwie kobiety. Okazało się, że była to hrabina Dzieduszycka ze swoją "damą do towarzystwa". Z całego swojego majątku przywiozła ze sobą koszyk, który trzymała cały czas na kolanach. W koszyku były dwa koty perskie - Micia i Siaju - tak je nazywała. To było wszystko co pozwolono jej zabrać. Nawet rzeczy osobiste musiała zostawić. Zapytała się babci czy mogłaby zatrzymać się przez jakiś czas u nas? Arystokratka, potomek znanego rodu patriotów polskich, który w historii dziejów tyle dobrego zdziałał dla mojej Ojczyzny, bez słowa skargi stanęła przed nami jak żebrak pozbawiony dachu nad głową. Babcia przyjęła ją pod nasz dach, jak stwierdziła - czując się zaszczycona. Zdając sobie sprawę do czego była przyzwyczajona, baliśmy się tylko tego, że hrabina Dzieduszycka będzie miała u nas wielką niewygodę. Była to jednak arystokratka z rodu przez pokolenia zahartowanego przeciwnościami. Nigdy nie usłyszeliśmy słowa skargi, wprost przeciwnie, za wszystko była wdzięczna. Bolała jedynie nad tym, że nie ma możliwości aby się odpowiednio zrewanżować.

Co jakiś czas przyjeżdżał z majątku hrabiny jej były zarządca - Ukrainiec z Pałahicz i przywoził, jak stwierdzał "dla naszej pani" całą furmankę żywności. Żywność tą hrabina rozdawała chętnie wśród sąsiadów i tych, którzy potrzebowali pomocy. Hrabina Dzieduszycka udzielała lekcji francuskiego i angielskiego dzieciom Polaków. Robiła to bezpłatnie i dla swojej przyjemności, jak często mówiła. Ten stan trwał do 1944r. Któregoś dnia hrabina Dzieduszycka zniknęła nagle. A stało się to jeszcze przed powrotem sowietów. Dokąd pojechała i z kim, wiedziała jedynie moja babcia, która do końca swoich dni nie chciała nikomu zdradzić tego sekretu. Przez jakiś czas, jak to się określało "dla zmyłki" mieszkała u babci "dama do towarzystwa" hrabiny. Potem i ona wyjechała, chyba pierwszym transportem ekspatriantów "na zachód".

Z tego okresu jeszcze jedno zdarzenie utkwiło mi w pamięci. Były to urodziny córki Mischela - Heidi. Na te urodziny jej matka zaprosiła dzieci z sąsiedztwa więc i ja również zostałam zaproszona. Było to trochę dziwne, ale ta niemiecka rodzina mieszkająca w naszym domu była jak na owe czasy "nietypowa". Heidi chodziła wszędzie sama bez obstawy, lgnęła do nas, polskich dzieci. Próbowała nawet mówić po polsku, oczywiście ze strasznymi błędami, które nas śmieszyły. Moja mama czuła wielki żal do wszystkich Niemców za to, że nas wyrzucili z domu, za rozpętanie wojny, za śmierć dziadka, za aresztowanie siostry, za okaleczenie brata czyli za wszystkie nieszczęścia naszej rodziny. Powiedziała, że absolutnie nie zgadza się abym poszła na to "szwabskie święto". "Nasza rodzina obchodzi żałobę po dziadku i nie mamy powodu do świętowania" twierdziła mama. Niemka dobrze wiedziała dlaczego moja mama nie pozwala mi pójść na te urodziny. Przysłała więc służącą Ukrainkę, aby przekonać mamę, że nie ma w tym nic złego, jak dzieci się pobawią. Dwa razy służąca przychodziła aby mnie zabrać na to "przyjęcie". W końcu mama z wielką niechęcią pomogła mi się ubrać, pozwoliła wziąć parę kwiatków z ogródka na "prezent" i pójść na te urodziny.

Na urodzinach Heidi był duży tort, dużo cukierków i wiele polskich i ukraińskich dzieci z sąsiedztwa. Wszystkich nas peszyła obecność ojca Heidi w mundurze oficera Wehrmachtu oraz jego psa-wilczura. On chyba wyczuł, że osoba jego stanowi jakby "hamulec" w atmosferze tego "przyjęcia" i w końcu wyszedł. Dopiero wtedy atmosfera rozluźniła się. Wróciłam do domu z tych urodzin z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony niecodzienne łakocie, a z drugiej świadomość od kogo je dostałam. Długo dręczyły mnie wyrzuty sumienia i czułam się winna - tak jakbym zdradziła bliskich.

W Tłumaczu trwały aresztowania i "łapanki". Trwał wywóz do Niemiec na przymusowe roboty. Ojciec mój był względnie bezpieczny. Pracował dla Rzeszy. Zabrali wujka Czesława na wykonywanie prac przy wyładunku drewna na stacji kolejowej w Tłumaczu. Wyładunkiem tym kierował Ukrainiec. Gdy się zorientował, że ma do czynienia z Polakiem, kazał wujkowi stanąć pod stertą bali drewnianych. Z góry dwóch Ukraińców podawało wujkowi do przeniesienia pojedyncze belki. W pewnym momencie cała sterta belek runęła w dół, wprost na plecy wujka Czesława. Chociaż wujek cudem uniknął śmierci, miał uszkodzony kręgosłup. Do domu przywieziono go na furze, nie mógł chodzić, ani siedzieć o własnych siłach. Babcia rozpaczała strasznie. Za wszelką cenę chciała ratować syna.

Dowiedziała się, że w Stanisławowie mieszka lekarz ortopeda - emeryt. Pojechała do niego po ratunek. Przywiozła lekarza do domu, który przez jakiś czas mieszkał u babci i opiekował się wujkiem. Lekarz sprawił, że wujek odzyskał zdolność chodzenia. Systematyczne ćwiczenia i młody wiek pozwoliły mu na odzyskanie częściowej sprawności, bo do całkowitego zdrowia nie wrócił już nigdy.

Wiosną 1944r.podczas wycofywania się armii niemieckiej, Niemcy zaminowali szyny linii kolejowej w Tłumaczu. W związku z tym faktem pamiętam takie wydarzenie:
Przed dobudówką u dziadków Ostropolskich, gdzie mieszkała rodzina państwa Wierzbickich była studnia. Ojciec mój nabrał wodę z tej studni i postawił wiadro na ziemi, bo w tym momencie pan Wierzbicki zawołał go, aby porozmawiać. W tym samym momencie usłyszeli straszne huki, kolejno po sobie następujących detonacji. W powietrzu rozległ się dziwny szum połączony z gwizdem i w miejsce gdzie przed chwilą stał mój ojciec wbił się w ziemię kawał szyny kolejowej. Okazało się, że Niemcy wysadzili w powietrze całą linię kolejową wraz z częścią dworca w Tłumaczu. Ten kawałek szyny mamy do dzisiaj. Ojciec twierdził, że jak patrzy na nią, to mu się przypomina, że ma za co Bogu dziękować. Wysadzenie linii kolejowej i dworca odbyło się chyba przed południem, a do wieczora Niemców już nie było w mieście. Mischel z rodziną wyjechał parę dni wcześniej. Mogliśmy znowu wprowadzić się do naszego domu.

Radość z porażki Niemców i poczucie ulgi zmącił fakt, że Sowieci z powrotem wkroczyli do Tłumacza. Po paru tygodniach, wróciła długo oczekiwana ciocia Bronisława. Okazało się, że po aresztowaniu została wywieziona do Oświęcimia. Tam przeżyła piekło na ziemi. Zawsze niechętnie wspominała o tym, szczególnie, że była poddawana "medycznym" eksperymentom, prowadzonym przez "lekarzy" Niemców. Powróciła nie ta sama osoba. Co zrobili Niemcy z pięknej, młodej, pełnej życia dziewczyny? Psychiczny i fizyczny ludzki wrak! To był straszny widok! Była torturowana i bita w twarz i po głowie. W rezultacie straciła prawie cały słuch. Do końca życia, nie odzyskała zdrowia fizycznego ani psychicznego.
Jak wynika z opisanych faktów, Niemcy i Sowieci zniszczyli całą moją rodzinę. Dziadka Franciszka Ostropolskiego uśmiercili, zarażając go tyfusem plamistym w więzieniu, ciocię Bronisławę zniszczyli fizycznie i psychicznie w Oświęcimiu, wujka Czesława okaleczyli Ukraińcy podczas niemieckiej okupacji, babcię Karolinę z Pławuszewskich Ostropolską oraz pozostałych członków rodziny, represjonowano za nie podpisanie volkslisty, wysiedlono nas z domu w Tłumaczu przy ul. Słowackiego 9, aresztowaniami i straszeniem wywózką do Rzeszy na przymusowe roboty, wykończyli psychicznie.
Taki oto los zgotowali niemieccy "nadludzie" mnie i mojej rodzinie. „Arcydzieło" to uzupełnili sowieci przez wyrwanie nas z odwiecznych korzeni na Kresach oraz zniewolenie mojej Ojczyzny przez 50 lat PRL.

Kapliczka

Barbara Borkowska

W numerach 37 – 39 „Zeszytów Tłumackich" opublikowane zostały wspomnienia mojej Mamy Janiny Olgi z Dombków Ładzieńskiej, dotyczące Jej życia i pracy w szkołach, w okresie przedwojennym i w czasie wojny, min. w Tłumaczu i okolicach. Ukazała się też informacja, że po moim pierwszym pobycie na Ukrainie w 2004r. postanowiłam wybudować kapliczkę na miejscu spalonej po II wojnie światowej, a postawionej na początku trzydziestych lat ubiegłego stulecia przez moich Dziadków Bronisławę i Józefa Dombków we wsi Jackówka (obecnie Tarasiwka) koło Oleszy. Pragnę zaznaczyć, że z inicjatywy mieszkańców Tarasiwki, jeszcze przed moim pierwszym pobytem na Ukrainie, na miejscu spalonej kapliczki Dziadków postawiony został krzyż, aby zaznaczyć to miejsce jako poświęcone Bogu.

Plany dotyczące budowy kapliczki udało się zrealizować dzięki ogromnej pomocy pana Michajła Dzemana, emerytowanego nauczyciela historii z Tłumacza. Pan Dzeman przekonał miejscowe władze do zaakceptowania mojego pomysłu i uzyskał pozwolenie na budowę, zorganizował ekipę budowlaną i sam brał udział w pracach budowlanych.

Krucyfiks ze spalonej kapliczki, przechowany przez mieszkańców Jackówki.

Od pana Michajła Dzemana dowiedziałam się, że mieszkańcy Tarasiwki odnieśli się z sympatią do budowy nowej kapliczki i we własnym zakresie wykonali ogrodzenie wokół niej oraz podarowali obrazy i inne eksponaty zdobiące obecnie wnętrze. Nad wejściem umieszczona została tablica z napisami w języku ukraińskim i polskim, zawierająca informację iż została ona wzniesiona na pamiątkę Bronisławie i Józefowi Dombkom, dawnym mieszkańców tej wioski – fundatorom pierwszej kapliczki wybudowanej w latach 1933- 1934.

17 sierpnia, w ubiegłym roku, odbyło się poświęcenie kapliczki. Zorganizowaniem tej uroczystości zajął się też Pan Dzeman. Rozpoczęła się ona nabożeństwem w kościele greckokatolickim pod wezwaniem Przenajświętszej Matki Boskiej Orędowniczki w Tarasiwce. Nabożeństwo celebrował ojciec Iwan Guculak, proboszcz tej parafii. Po nabożeństwie przeszła procesja z kościoła do kapliczki (ok.1,5 km). W poświęceniu kapliczki wziął udział także ojciec Wołodomir Majdanczuk ze wsi Hespił. Uroczystość zgromadziła kilkadziesiąt osób z Tarasiwki i Oleszy. Szereg starszych osób pamiętało moich Dziadków, Mamę i Brata Mamy – Mariana Dombka i ze wzruszeniem opowiadało o swoich kontaktach z nimi.

Kapliczką opiekuje się ojciec Iwan Guculak, Proboszcz z Tarasiwki. Będą się w niej co jakiś czas odbywać nabożeństwa. Co roku w sierpniu, w rocznicę poświęcenia kapliczki będzie odprawiane nabożeństwo.

Kołobrzeg 2009

Jerzy Czyżycki

Jak co roku, od wielu lat, bawiliśmy przez 14 dni w Kołobrzegu. Niestety już nie w „naszym" ośrodku przy ul. Admirała Krzysztofa Arciszewskiego. Ciekawy jestem kto z was, wieloletnich bywalców na naszych wczasach wie coś o Arciszewskim? Wspominając jednak nasze wieloletnie pobyty przy ulicy nazwanej jego imieniem, chcę o nim napisać kilka słów.

Krzysztof Arciszewski żył w latach 1592 – 1656 i tak o sobie pisał: *„Jam ci nigdy dobrym arianinem nie był"*. Banita, który sławę zdobywał poza krajem, pierwszy polski konkwistador, jednakże nie dla Rzeczypospolitej zmagający się z Hiszpanami i Portugalczykami w dalekiej Ameryce Południowej. Żołnierz, poeta i autor traktatu medycznego o podagrze. Żył w Holandii „złotego wieku" i w Polsce „wieku srebrnego". Urodził się w Rogalinie. Nauki pobierał w Nietążkowie k/Śmigla w szkole ariańskiej, kontynuował je w akademii w Rakowie, w uniwersytecie we Frankfurcie nad Odrą. Służył u księcia Krzysztofa Radziwiłła, brał udział w walkach ze Szwedami w Inflantach i został wygnany z kraju za zabójstwo. Brał udział w walkach Holendrów z Hiszpanami pod Bredą, zdobywał twierdzę hugenotów w La Rochelle we Francji, walczył przeciwko Hiszpanom, a także przeciwko Portugalczykom i Hiszpanom w Brazylii. Przebywał w Holandii i dwukrotnie w Brazylii, już jako generał artylerii i admirał. Na prośbę króla polskiego Władysława IV powrócił do kraju i uzyskał nominację na generała artylerii konnej. Po śmierci Władysława IV walczył u boku króla Jana Kazimierza o Zbaraż. Zmarł pod Gdańskiem gdzie przebywał u krewnych. Pochowany został na własne życzenie w Lesznie. Tak więc, w dużym skrócie przypomniałem dzieje tego wyjątkowego i ciekawego człowieka, którego imieniem nazwano ulicę w Kołobrzegu, przy której przez wiele lat przyszło nam wypoczywać.

Wracam jednak do naszego tegorocznego pobytu. Skończyły się wieloletnie dwutygodniowe wczasowania w „naszym" ośrodku. Teraz nieco dalej od morza przy ul. Sosnowej i Świerkowej, znaleźliśmy nowe miejsce tradycyjnego wypoczynku. Nie będę porównywał ze sobą tych dwóch miejsc wypoczynku. Nam, czyli naszej Tłumackiej rodzinie jest dobrze wszędzie, co nie oznacza, że nie znajdą się malkontenci, jak w każdej grupie. Dla nas najważniejsze jest to, że jesteśmy razem, coraz mniej licznie, ale razem. Tegoroczna aura nas nie rozpieszczała. Warunki, jakie mieliśmy przy niesprzyjającej pogodzie nie pozwalały na wspólne, niekończące się „grupowe" wspominania - jak to drzewiej bywało. W pokojach były, ale to nie jest porównywalne z podobnymi, odbywanymi ongiś na wolnym powietrzu. Zapytacie zapewne: „a jak radziliście sobie z wyżywieniem?" Nie było, niestety, domowych obiadków pana Tadzia. To wcale nie znaczy, że inne muszą być gorsze. Mieliśmy do wyboru dwie jadłodajnie mieszczące się niedaleko miejsca naszego pobytu. Obie były dobre i na jakość oraz obfitość oferowanych posiłków grzechem było by narzekać. Rybka konsumowana w każdej postaci była przez wszystkich chwalona.

Tegoroczne wczasowanie połączone było z wyborami do władz Oddziału w związku z zakończoną kadencją. Do Kołobrzegu zawitało w tym roku niestety tylko 23 członków. Jak nigdy dotąd nie dojechało 8 osób, które zmogła jakaś choroba. W tej nielicznej w porównaniu z zeszłymi Zjazdami grupie obradowaliśmy, dyskutowaliśmy, oceniając minioną kadencję, by w końcu wybrać tych, którzy nam będą przewodzić przez następne 4 lata. Pragnę przy okazji napisać kilka słów o Przewodniczącym zebrania. Tę ważną funkcję powierzyliśmy, jak zwykle koledze Józefowi

Duszyńskiemu, który już kilkakrotnie doskonale sprawdził się w tej roli. Prowadził zebranie wzorowo, po marynarsku, jak przystało na byłego Komandora. Dyskusja nad sprawozdaniem była merytoryczna, bez gadulstwa i konkretna. Wybrano nowe władze Oddziału, którego skład przedstawia się następująco:

Zarząd

Prezes - Zygmunt Burczyński
V-ce prezes - Danuta Tabińska – Juhasz
Skarbnik - Irena Rosowska
Sekretarz - Jerzy Czyżycki

Członkowie:
Danuta Nespiak
Elżbieta Niewolska
Zofia Ruszkiewicz
Janina Stybel
Jan Śmiechowski
Z-ca członka - Krystyna Helt

Komisja Rewizyjna

Przewodnicząca - Barbara Leżuch

Członkowie
Teresa Dostal
Krystyna Szymułowicz
Z-ca członka - Roman Przybyło

Sąd Koleżeński

Przewodniczący - Władysław Ornatowski

Członkowie
Romualda Lityńska-Króliczek
Bogumiła Przybyło
Z-ca członka - Anna Szymułowicz

Delegat na Zjazdy TMLiKPW - Elżbieta Niewolska

Na zakończenie obrad podjęto uchwałę, w której zawarto zadania dla Zarządu na nową kadencję:

1. Kontynuować w dalszym ciągu wspólne imprezy integracyjne.
2. W miarę posiadanych środków nieść rodakom pomoc charytatywną na Kresach.
3. Doprowadzić do renowacji kaplicy cmentarnej w Tłumaczu i uporządkowania jej otoczenia.
4. Kontynuować wydawanie „Zeszytów Tłumackich"
5. Kontynuować prace nad książką „Rzeczpospolita Tłumacka - monografia miasta i okolic".
6. W związku z zamiarem jej wydania, podjąć działania zmierzające do pozyskania środków finansowych.
7. Podjąć czynności w celu uzyskania statusu organizacji pożytku publicznego.

Jak zawsze nadszedł czas pożegnania. Wiecie jak to wygląda, dlatego nie wdając się w szczegóły, ocierając zroszone policzki – wszak było deszczowo - życzyliśmy sobie ponownego spotkania w zdrowiu.
O tegorocznym pobycie w Kołobrzegu, z racji pełnionej funkcji doniósł sekretarz Oddziału - J. Czyżycki.

Do czytelników „Zeszytów Tłumackich"

i

wszystkich zainteresowanych historią i kulturą Kresów Południowo - Wschodnich Rzeczpospolitej.

Dr Danuta Nespiak

Historia i kultura byłych Kresów Południowo – Wschodnich na wybranym przykładzie Tłumacza i ziemi tłumackiej, publikowana jest sukcesywnie w „Zeszytach Tłumackich" od pierwszego kwartału 1996r. Jeszcze przed powstaniem czasopisma, historia tego miasta i tej ziemi opisywana i dokumentowana była „na żywo" w czasie prywatnych, ogólnopolskich spotkań i zjazdów (nieformalnych w PRL-u) tłumackiej wspólnoty, jeszcze w latach 50-tych, w środowisku wrocławskim, a później wrocławskim. Pierwszym strażnikiem tego pamięciowego dziedzictwa był dr med. Michał Nikosiewicz, a rychło dołączyli się inni (przede wszystkim mgr D. Tabińska – Juhasz i mgr Karol Mytnik). Poszerzał się obszar pamięci, odnajdywała się rozproszona, tłumacka społeczność w Polsce i na swiecie. Ze starych fotografii i pocztówek wyłaniał się niezakłamany świat tłumackiej Rzeczpospolitej – jej ludzi, kościołów, cerkwi, domów, dawnych dworów, wśród których ten w Bortnikach dla Henryka Rodakowskiego zaprojektował w 1878r słynny architekt lwowski Julian Zachariewicz.
W ciągu tych kilkudziesięciu lat trwania w Polsce ekspatriowanej wspólnoty tłumackiej zgromadził się i udokumentował materiał historyczny, łączący fenomen tej „Rzeczpospolitej w pigułce", jakim był Tłumacz z diasporą tłumacką w Polsce, po II wojnie światowej. Redakcja „Zeszytów Tłumackich" aby ocalić ten materiał oraz zarazem fragment historii Polski, zdecydowała się na wydanie książki pt. „Rzeczpospolita Tłumacka". Dzieje i kultura". Oto jej będąca w opracowaniu treść:
Część I.

1. Tłumacz od księstwa halickiego do blasków i cieni Rzeczpospolitej Obojga Narodów
2. Miasto i ziemia tłumacka w monarchii Habsburgów

Część II
3. W II RP. Tłumacz, jako miasto polskiej inteligencji.
4. Polacy, a ludność ukraińska i żydowska w dwudziestoleciu międzywojennym w mieście i na ziemi tłumackiej.

Część III.
5. Koniec Rzeczpospolitej Tłumackiej. Losy Polaków 1939-1946.
6. Polacy, Żydzi i Ukraińcy wobec zagrożeń i zbrodni okupacji sowieckiej i niemieckiej.

Część IV.
7. Polska wspólnota tłumacka po ekspatriacji.
8. Fenomen więzi i sformalizowanie organizacyjne wspólnoty.
9. Pamięć, tożsamość, przyszłość. Bycie tam i tu, jako zadanie dla potomnych.
10. Indeksy.

Prosimy o przysyłanie historii rodzin, zdjęć, odpisów dokumentów, a także prosimy chętnych o zgłoszenia na przedpłatę tej książki. Apel swój kierujemy nie tylko do Polaków tłumackich, ale do wszystkich byłych mieszkańców miasta i powiatu tłumackiego, którzy tam żyli w okresie II RP i obu okupacji – niemieckiej i sowieckiej. Prosimy o zainteresowanie powyższym dzieci i wnuków Kresowian.

Władek Geruła – wspomnienie

Jerzy Czyżycki

Władek Geruła urodził się w Łokutkach, na przedmieściach Tłumacza, 9 grudnia 1925r. Przed wybuchem wojny zdążył ukończyć pierwszą klasę Gimnazjum w Tłumaczu. Okres wojny i kolejnych okupacji był łaskawy dla niego. Fakt, że był synem rolnika nie uważanego za kułaka sprawił, że nie objęła ich wywózka do Kraju Rad. Uniknął też wywiezienia na roboty do Niemiec.

Rok 1944 to nowy rozdział w życiu dorastającego młodzieńca. Spotkanie z wojskiem, w którym zdobył wykształcenie, spowodowało związanie się z nim na całe życie. Na początek trafia do II zapasowego Pułku Saperów w Jarosławiu. Tam skierowano go do szkoły podoficerskiej, której nie ukończył, na skutek przeniesienia do Oficerskiej Szkoły saperów w Przemyślu. Trzeba pamiętać, że w tym czasie, na skutek braku oficerów w Wojsku Polskim posiadających trochę więcej niż podstawowe wykształcenie kierowano do szkół oficerskich. 29 kwietnia 1945r. kończy szkołę, otrzymuje stopień podporucznika i skierowany zostaje do 13 Dywizji Piechoty w Katowicach na stanowisko pomocnika szefa IV Wydziału Sztabu Dywizji. W ramach działania Dywizji bierze udział w rozminowywaniu Przełęczy Dukielskiej oraz części pasa położonego wzdłuż Odry.

W 1947 roku zostaje przeniesiony do Brzegu, do jednostki saperskiej. Tutaj otrzymuje awans na stopień porucznika, kontynuuje naukę i w 1948r. zdaje maturę. Tu tez zakłada rodzinę. W 1949r odbywa kurs doskonalenia oficerów we Wrocławiu. Po jego ukończeniu zostaje awansowany do stopnia kapitana. W służbie wojskowej nie często się zdarza trwać w jednej jednostce. I jego ta ciągła zmiana nie omija. Zostaje przeniesiony do Dęblina na stanowisko Szefa Sztabu Batalionu IV D.P., a następnie do Łańcuta, do XX batalionu Saperów 9 Dywizji, jako dowódca Batalionu. Jest rok 1954, awansuje do stopnia majora. W tym też roku znowu przeniesienie, tym razem na stanowisko Szefa Sztabu II Warszawskiej Ciężkiej Brygady Saperów.

W roku 1956 zostaje oddelegowany do MSZ i tam mianowany kierownikiem grupy taktyczno-operacyjnej Międzynarodowej Komisji do spraw nadzoru i kontroli rozejmu z 1954 roku, pomiędzy Francuzami i Wietnamczykami. Tam otrzymał awans i wrócił do Brygady jako podpułkownik. W Brygadzie Warszawskiej służył do 1965r. Skierowany do Akademii Sztabu Generalnego, jest wykładowcą taktyki wojsk inżynieryjnych przez okres dwóch lat. W 1967r. przeniesiony do Oficerskiej Wyższej Szkoły saperów we Wrocławiu, na stanowisko zastępcy kierownika cyklu. W 1968r zostaje awansowany do stopnia pułkownika. W 1982 przechodzi w stan spoczynku. Dawni mieszkańcy Tłumacza, miasteczka kresowego, gdzie spędził młodość, spotykali się przez wiele lat na organizowanych zjazdach. Po powołaniu Klubu, a następnie Oddziału w Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów Południowo Wschodnich został wybrany na przewodniczącego Komisji Rewizyjnej. Funkcje tę sprawował nieprzerwanie do ostatnich chwil życia. Wieloletnia służba w jednych z najcięższych i najniebezpieczniejszych formacji w wojsku, gdzie rozwaga, ostrożność i spokój są warunkiem przeżycia, ukształtowały Jego charakter. Był cichym, spokojnym, zrównoważonym człowiekiem. W sytuacjach konfliktowych, jak to w życiu bywa, potrafił swoją rozwagą i spokojem zażegnywać spory pomiędzy stronami. W zmarłym straciliśmy Przyjaciela, Kolegę – członka naszej, tłumackiej wspólnoty. Żegnaj Władku. Pamięć o Tobie będzie trwała.

Odznaczenia:
Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski
Złoty Krzyż Zasługi w Służbie Ojczyźnie
Za udział w walkach za Berlin
Inne resortowe odznaczenia

Darowizny za okres 14.11.2008 do 19.06.2009

Lp.	Nazwisko i imię	Ogółem	Kapliczka i Okniany	Lp.	Nazwisko i imię	Ogółem	Kapliczka i Okniany
1	Adamczak Maria	7,00		37	Małecka Ewa	17,00	
2	Bielański Jan	17,00		38	Marcinowska Mirosława	67,00	67,00
3	Bilińska Helena	7,00		39	Masłowski Jan	27,00	
4	Biliński Adam	46,00	46,00	40	Mierzwiński Stanisław	67,00	67,00
5	Biś Elżbieta i Tadeusz	50,00		41	Ornatowska Janina	300,00	300,00
6	Bocheńska Anna	31,00	31,00	42	Pactwa Janina	67,00	
7	Bogucka Anastazja	67,00		43	Paczka Roma	67,00	
8	Borsuk Aniela	100,00	100,00	44	Petrus Juliusz	67,00	67,00
9	Brzoza Roman, Was Fr.	50,00		45	Pietrunko Stanisław	5,00	
10	Bula Rafał	17,00		46	Piotrowska Stefania	67,00	67,00
11	Burczyński Zygmunt	52,00		47	Polak Marta	50,00	50,00
12	Chruszczyk Jadwiga	24,00		48	Prymakowska Józefa	67,00	
13	Cichoń Józefa	100,00	100,00	49	Przybyło Bogumiła	200,00	200,00
14	Czerniak Władysław	5,00		50	Reich Janina i Andrzej	152,00	100,00
15	Czohara Józef	17,00		51	Ruszkiewicz Zofia	17,00	
16	Czubak Halina	17,00		52	Rzucidło Władysław	27,00	
17	Czyż Adam	67,00	67,00	53	Sapa Teresa Bogumiła	47,00	30,00
18	Czyżycki Jerzy	17,00		54	Skowron Stanisław	67,00	67,00
19	Duniec Krystyna i Kazimierz	100,00	100,00	55	Sobańska Helena	200,00	
20	Duszyński Józef	67,00	67,00	56	Storożenko Jadwiga	267,00	200,00
21	Fedorowicz Wanda	72,00		57	Strahl Mirosława	17,00	
22	Gierak Jadwiga	67,00	50,00	58	Stybel Janina	7,00	
23	Hapońska Krystyna	50,00		59	Szczepińska Jadwiga	17,00	
24	Helt Krystyna	50,00		60	Szymułowicz Anna	70,00	20,00
25	Janicki Stanisław	5,00		61	Szymułowicz Krystyna	50,00	50,00
26	Jeżowska Barbara	67,00	67,00	62	Tabińska-Juhasz Danuta	32,00	
27	Juszczak Janina	117,00	117,00	63	Tomyn Włodzimierz	67,00	67,00
28	Kałuża Czesława	17,00		64	Wesoła Filomena	7,00	
29	Kieba Janina	20,00		65	Wojtkowiak Kryst.i Jan	249,00	100,00
30	Kłonowski Tadeusz	200,00	200,00	66	Wojtowicz Jan	15,00	
31	Kłonowski Zdzisław	7,00		67	Woroszczuk Rudolf	35,00	
32	Korczowska Anna	67,00	67,00	68	Wypych Aniela	37,00	20,00
33	Kowalska Henryka	17,00		69	Wysoczański Eugeniusz	17,00	
34	Kubica Janina	67,00		70	Zakowicz Jan	12,00	
35	Leżuch Barbara Wrocław	17,00		71	Zakowicz Mieczysław	17,00	17,00
36	Lityńska Króliczek Roma	17,00		72	Żądło Józef	7,00	
					Razem	**4216,00**	**2501,00**

Szanownym Ofiarodawcom składamy gorące podziękowania.

Odeszli

Władysław Geruła	***Jan Lipiński***	***Władysław Tomyn***	***Stanisław Pelikan***
ur. 9.12.1925r.	***ur. 22.05.1921r***	***ur. 13.05.1928***	***ur. 24.04.1925r.***
w Tłumaczu	***w Tłumaczu***	***w Tłumaczu***	***w Tyśmienicy***
zm. 11.12.2008r.	***zm. 17.12.2008r***	***zm. 04.05.2009***	***zm. 31.05.2009r.***
we Wrocławiu	***w Głubczycach***	***w Warszawie***	***w Łodzi***

Serdeczne wyrazy żalu oraz współczucia rodzinom i przyjaciołom Zmarłych składa Zarząd TMLiKPW oraz Redakcja „Zeszytów Tłumackich”.

KOMUNIKATY

1. Zawiadamiamy wszystkich sympatyków i członków Oddziału, że zgodnie z corocznym zwyczajem msza odpustowa ku czci św. Anny Samotrzeciej ,odprawiona zostanie w dniu 26 lipca o godz. 12,00 w Siedlakowicach. Serdecznie na nią zapraszamy. Ks. Proboszcz S. Kulig w imieniu parafian po mszy zaprasza na spotkanie w nowo odremontowanej świetlicy.

2. Z okazji obchodów XX-lecia naszego Oddziału dostajecie Państwo (członkowie Oddziału) razem z tym numerem ZT folder okolicznościowy oraz zaproszenie na uroczyste obchody jubileuszu XX-lecia. Miejsce oraz termin obchodów podano w zaproszeniu. Prosimy o telefoniczne lub listowne powiadomienie Oddziału o swoim uczestnictwie. Prosimy także, w miarę możliwości i środków o wzbogacenie uroczystości Waszymi potrawami, wypiekami, winami czy nalewkami, które będzie można przywieźć na uroczystość, a potem degustować i smakować. Przepraszamy również za opóźnienie w wydaniu ZT spowodowane względami organizacyjnymi, związanymi z obchodami jubileuszu.

3. Przypominamy prenumeratorom i członkom Oddziału, że wpłaty składek i prenumeraty „Zeszytów Tłumackich" należy wnosić na konto: TMLiKPW Zarząd Główny 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631 - tytuł Tłumacz. Wpłaty celowe - na rzecz tłumackiej kaplicy, Oknian lub książki należy dodatkowo oznaczyć odpowiednim opisem.

Spis treści

Pamiętne, ważne rocznice	1
„Stosunki polsko-ukraińskie w Tłumaczu" – Tadeusz Kłonowski	1
Ziemia stanisławowska	4
„Tchnienie wieków" – F. Antoni Ossendowski	4
„Rozmowa Dziadka z Wnukiem' – Halina Matuszewska	9
Z życia Tłumaczan	10
„Moja historia" – Elza Boniowska Andrzejaczek Stylianides	10
„Wspomnienia związane z budynkiem „Sokoła" – Danuta Tabińska – Juhasz	13
„Moja wizyta w Nadoroznej" – Janina Sokołowska Kubica	17
„Wspomnienie z Tłumacza, część II" – Krystyna z Osieckich Duniec	18
„Kapliczka" – Barbara Borkowska	23
„Kołobrzeg" 2009" Jerzy Czyżycki	24
„Do czytelników Zeszytów Tłumackich" – dr Danuta Nespiak	25
„Władysław Geruła – wspomnienie" – Jerzy Czyżycki	26
Lista darczyńców, nekrologi	27
Komunikaty, spis treści.....	28
Okładka – przód - Tłumacz lata 1998 i 2007" - zdjęcia D. Tabińska - Juhasz i J. Sokołowska Kubica	
Okładka – tył - „Zjazd w Kołobrzegu" i „Kapliczka w Jackówce" - zdjęcia E. Niewolska i B. Borkowska ***Zdjęcia archiwalne*** *pochodzą ze zbiorów dr Michała Nikosiewicza*	

Nasze czasopismo dofinansowywane jest przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Za dotację serdecznie dziękujemy.

Redaguje zespół w składzie: ***Elżbieta Niewolska – Redaktor Naczelny, Danuta Tabinska-Juhasz – Zastępca oraz Anna Panachida - Bocheńska, Irena Rosowska, Helena Bilińska, Adam Biliński.***

Adres Redakcji: TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan, 50 – 079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, I piętro, tel./faks 071/ 344 88 93
Konto Bankowe: PKO BP IV O/Wrocław 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631 TMLiKPW Zarząd Główny

Skład i druk: Centrum Druku i Reklamy Sp. z o.o. 54 613 Wrocław, ul. Krzemieniecka 46, tel. 071/7903303

W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno – językowych. Na życzenie autorów zwracamy przesłane materiały.

Tarasiwka (Jackówka) – 17 sierpień 2008r.
Poświęcenie kaplicy.

Przed odbudowaną kapliczką stoją od lewej: Mychajło Dzeman, Gustaw Ładzieński, Barbara Borkowska, Kazimierz Borkowski oraz Robert Kowalski-Zbadowski.

Kołobrzeg 2009

<u>Zdjęcie dolne</u>

Na ławeczce.
Jeden z nielicznych, słonecznych dni na tegorocznym zjeździe.

Siedzą od lewej:
Zofia Ruszkiewicz
D. Tabinska-Juhasz,
Anna Bocheńska,
Janina Pactwa.

<u>Zdjęcie górne</u>

W drodze na zebranie wyborcze, czyli spacer pomiędzy ulewą i gradobiciem. Od lewej; Roma Lityńska Króliczek, córka Romy – Iza, Basia Leżuch oraz Krysia Helt.

Wybory 2009

Zarząd TMLiKPW Oddział Tłumacz, wybrany na kadencję 2009 – 2013. Od góry, od lewej stoją: Danuta Nespiak, Krystyna Helt, Elżbieta Niewolska, Zofia Ruszkiewicz, Janina Stybel, Jerzy Czyżycki. Siedzą: Barbara Leżuch, Zygmunt Burczyński, Danuta Tabińska-Juhasz. Na szpicy - Irena Rosowska.